

JEREMI PRZYBORA

LISTY Z PODRÓŻY

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
List z podróży na Żoliborz.	8
List z Bielan	12
List z bramy	15
List z...?	20
List ze Szczęśliwic.	23
List o japończykach	27
List z wysokościowca	31

List z Ogrodu Saskiego	35
List o kablu	39
List z piekarni „Mastodont”	42
List z ulicy Kraniaka i Dziwalewicza	46
List o załamaniu się	50
List z własnej ulicy	53
List o kominkach	57
List z muzeum	61
List o dziadku Paźdierzaku	66
List omawiający korespondencję	70
List o podróżniku Cichorodku	73
List znad Wisły	77
List z balu	81
List z tamtego brzegu	86
List z ogonka	89
List ponownie omawiający korespondencję	93

List z plaży wiosennej	96
List z życia rozrywkowego	100
List z wystawy psów	104

O podróżach marzyliśmy z przyjacielem od wczesnego dzieciństwa, a nie podróżowaliśmy dotąd z dwóch przyczyn:

- a) wskutek silnego przywiązania do rodziny i —*
- b) wskutek braku pieniędzy.*

Bliższej rodziny nie posiadamy i tym silniej przywiązaliśmy się do dalszej, złożonej z mlecznego rodzeństwa, trzonowych krewnych itp. Pieniądzy natomiast nie posiadaliśmy ani dalszych, ani bliższych. Tymczasem zaś do marzeń o podróżach dołączyła się z wiekiem żądza nieśmiertelności, przejścia do literatury itd. Jak tym pragnieniom uczynić zadość? Oczywiście podróżując i pisząc listy z podróży, W tym celu postanowiliśmy:

- a) pozbyć się rodziny i —*

b) odziedziczyć po niej spadek.

Ponieważ wiedzieliśmy, że rodzina nasza poszłaby za nami w ogień, pozbycie się jej nie nastęrczyło nam większych trudności. Zaprosiliśmy ją na jesienny piknik za miasto, rozpaliliśmy wielkie ognisko (rzekomo, by piec kartofle), a następnie, zaopatrzywszy się w ubrania azbestowe, przeszliśmy przez płomienie nietknięci, czego nie można powiedzieć o rodzinie, która za nami w ogień ten poszła.

Niestety, uzyskany w ten sposób spadek po niej okazał się bardzo nikły. Starczył zaledwie na zakup magnetofonu, taśmy i kabla, którym postanowiliśmy nasze listy, nagrywane na magnetofon na dwa głosy, kablować do centrali radiowej, jak przystało na ambitnych współczesnych korespondentów. Wysokie koszty tych inwestycji zmusiły nas, na razie przynajmniej, do rezygnacji z podróży odleglejszych. Zrezygnowaliśmy między innymi, z żalem. — z Alaski, płd. Meksyku, Ziemi Ognistej, Popocatepetl, a na tej półkuli — z Przylądka Dobrej Nadziei i Tyflisu. Ograniczyliśmy się na razie do podróży na Bielany, Żoliborz, a później niejednokrotnie przyszło nam jeszcze bardziej skracać nasze trasy, by kosztem tego utrzymać wysoki poziom literacki naszych korespondencji.

Chcielibyśmy jeszcze tą drogą wyrazić szczególną wdzięczność Komunikacji Miejskiej, Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji, Handlowi Miejskiemu (zwłaszcza Detalicznemu) oraz Zarządowi Kwietników i Skwerów — za to wszystko, co w czasie naszych podróży dla nas i nie tylko dla nas uczyniły.

List z podróży na Żoliborz

Już w drodze do celu naszej podróży, tzn. na Żoliborz, postanowiliśmy z przyjacielem przygotować się do opanowania terenu naszej eskapady, zaznajamiając się z historycznymi źródłami, dotyczącymi powstania i rozwoju Żoliborza, drogą pytań i odpowiedzi.

— Jednym słowem, przyjaciel będzie stawiał pytania, a ja będę odpowiadał.

— Kto i kiedy założył Żoliborz?

— Żoliborz założył, wbrew panującemu przekonaniu, już we wczesnej przeszłości książę Żolibor III Rzymski.

— Dlaczego rzymski?

— Ponieważ byli książęta tegoż imienia numeracji arabskiej.

— Czy miał on jakiś przydomek?

— Miał on przydomek Zakładacz.

— Dlaczego nie Założyciel?

— Ponieważ zakładał Żoliborz kilkakrotnie. Od pierwszego razu mu się nie udało. Nie jest łatwo od razu cokolwiek założyć, jeśli się nie ma wprawy i robi się to po raz pierwszy.

— Gdzie zrobił on to po raz pierwszy?

— Zrobił on to po raz pierwszy, czyli założył Żoliborz, nie w tym miejscu, gdzie jest on położony dzisiaj, a przeciwnie, na południu, tam mniej więcej, gdzie dziś Mokotów. Musiał jednak szybko zwinąć to, co założył, gdyż ta pierwsza sytuacja geopolityczna nie była korzystna ze względu na sąsiedztwo księcia grójeckiego, Gębosza.

— Książę Gębosz był wrogo usposobiony względem księcia Żolibora Zakładacza?

— Nie, bardzo życzliwie. Niestety, miał bardzo przykry oddech. Tak, że kiedy wiał wiatr z południa, Żolibor cierpiał męki.

— I dokąd przeniósł Żolibor Żoliborz?

— Na prawy brzeg Wisły, gdzie jednak miejscowość nawiedziła powódź, a następnie spalił ją książę Rudenko.

— Od razu?

— Nie, poczekał, aż wyschnie.

— I co wtedy?

— I wtedy niestrudzony książę Żolibor III założył po raz trzeci (nomen omen) Żoliborz już w tym miejscu, gdzie znajduje on się dzisiaj.

— Sytuacja, tzn. ta nowa sytuacja geopolityczna odpowiadała mu?

— Jak najbardziej. Ze względu zwłaszcza na sąsiedztwo księcia bielańskiego, Ksiutosława.

— A książę Ksiutosław jak był usposobiony względem księcia Żolibora?

— Wrogo. Co przejawiało się między innymi i tym, że najeżdżał, mordował i gwałcił.

— Jakże więc sąsiedztwo z takim księciem mogło odpowiadać Żoliborowi Zakładaczowi?

— Odpowiadało mu z tego względu, że kobiety żoliborskie znane były podówczas ze swej nieprzystępności. Były one tak nieprzystępne, że groziło to w praktyce wygaśnięciem ludności Żoliborza. Dlatego systematyczne najazdy drużyny księcia Ksiutośława, połączone z gwałtami, były Żoliborowi bardzo na rękę.

— Zgoda, jeżeli chodzi o damską część zaludnienia. Ale przecież najeźdźca mordował element męski?

— I na to znalazł radę mądry Żolibor, wykazując niezwykle zmysł polityczny.

W przeciwieństwie bowiem do Konrada Mazowieckiego, wykorzystał on znakomicie Krzyżaków, umiejętnie sprowadzając ich na Żoliborz. Sprowadzał ich mianowicie małymi grupkami bardzo tanio i podstawił najeżdżającemu go księciu bielańskiemu. Dopiero kiedy najeźdźca wyciął ich w pień, zamiast Żoliborzan, Żolibor zamawiał dalszych Krzyżaków. I w ten sposób nie tylko chronił własnych wojów, ale również przyczynił się znacznie do osłabienia Zakonu przed Grunwaldem.

— Tyle historii o powstaniu Żoliborza. Niestety, zatopieni w historycznych wywodach, przegapiliśmy z przyjacielem parę przystanków i nie możemy kablować z Żoliborza, ponieważ wysiedliśmy na Bielanych. Stamtąd też przekablujemy nasz następny list z podróży.

List z Bielan

— A więc następny nasz list kablujemy wam, drodzy, z Bielan. Piękny to zakątek te Bielany! No i to cudowne powietrze bielańskie, tak w tlen bogate, że np. kobiety tu przeważnie jasne blondynki, bardzo przystojne.

— Niestety, pobyt nasz w tym uroczym zakątku zakłócił przykry incydent z powodzianinem, Szlamikiem Ignacym, który utopił się z powodu niskiego stanu wody.

— Tu trzeba by zaznaczyć, że Bielanom, położonym na wysokim brzegu Wisły, nie zagrażają powodzie.

— Natomiast bardzo charakterystyczne dla mieszkańców Bielan instynkty charytatywne, zwłaszcza zaś niewyżyta chęć niesienia pomocy powodzianom, wykorzystywał od kilku lat nieuczciwie niejaki Szlamik Ignacy.

— Usunięty z Wodociągów i Kanalizacji za alkoholizm.

— Otóż Szlamik pobudował się prymitywnie i ukośnie na stromym brzegu, tuż nad rzeką, tak że najmniejszy przybór wody kreował go na, częściowego przynajmniej, powodzianina.

— I tak np. wystarczyło 10 cm, żeby Szlamik miał już nogi w wodzie i wzywał do zbiórki na buty i skarpetki dla powodzianina.

— Wrażliwa ludność niosła natychmiast pomoc swojemu jedynejmu powodzianinowi w butach i skarpetkach, a w miarę jak woda przybierała, w kalesonach, koszulach, garniturach itd.

— Zasypywany konfekcją Szlamik mógł ze sprzedaży nadwyżek żyć spokojnie. Niestety przepijał wszystkie zbiórki w latach wilgotnych, by w latach suszy urządzać niemądre manifestacje, a nawet ruchawki.

— Co skończyło się nieszczęśliwie w czasie naszego pobytu na Bielanach, który przypadł na okres suszy jesiennej. W czwartek od rana Szlamik wyszedł na miasto, wypił napotkany kiosk piwa, po czym zalany powodzianin oddał się inwektywom itp. oszczerstwom pod adresem rzekomych sprawców suszy.

— Ludność przysłuchiwała się z godnością, ale i z rosnącą niechęcią niesprawiedliwym wypowiedziom Szlamika.

— Tak, że kiedy uciążliwy powodzianin w przystępie złośliwości nappełnił sobie usta piwem, a drugą ręką zatkał sobie nos i w ten sposób utopił się, wszyscy powitali to ze smutkiem, ale i z ulgą.

— Tym bardziej że dorastający syn Szlamika Ignacego, Szlamik Wincenty, rośnie na nowego, trzeźwego i uczciwego powodzianina, którym Bielany będą chętnie i troskliwie się opiekować.

List z bramy

— A więc mamy już za sobą Żoliborz, Bielany i in. Nic więc dziwnego, że po tak wyczerpujących podróżach postanowiliśmy na czas krótki powrócić do domu, aby tu zebrać siły do dalszych wojaży.

— Bo, jak to mówią, wszędzie dobrze. . .

— W domu zastaliśmy nieco korespondencji do załatwienia, telefon wyłączony z powodu niezapłacenia rachunku, natomiast światło włączone z powodu roztargnienia przed wyjazdem, a poza tym trzy bilety wizytowe z życzeniami noworocznymi — od kominiarza, dozorca i listonosza.

— To nam sprawiło sporo kłopotu, bo przecież wizyty trzeba by zrewizytować, a tu, jeżeli chodzi o kominiarza i listonosza, brak adresów na biletach.

— Jeżeli chodzi o kominiarza, to nawet brak komina.

— Był natomiast odcisk palca na bilecie kominiarza, ale gdzie tu szukać uczciwego człowieka na podstawie odcisku palca? Tym skwapliwiej więc postanowiliśmy skorzystać z możliwości udzielenia satysfakcji towarzyskiej dozorczy. Kupiliśmy kwiatki dla pani dozorczyńni i jeszcze tego wieczoru udaliśmy się z rewizytą.

— Niestety pani dozorczyńni nie zastaliśmy. . .

— Wyjechała do szwagra do Radości.

— . . . a dozorca nie ukrywał, że za kwiatami nie przepada.

— Rozmowa się nie kleiła.

— Tym bardziej że przyjaciel zaczął coś trochę niefortunnie — o gołodzedzi, a dozorca nasz akurat nie wysypuje piaskiem i sporo ofiar gołodzedzi ma o to do niego pretensje.

— Więc przyjaciel z kolei zvekslował konwersację na bramę — że jaki to ciężki obowiązek to otwieranie bramy po 23-ej.

— I zamykanie. Dozorca jednak mało nas słuchał. Raczej patrzył w telewizor.

Szedł akurat program „Jak to miło w wieczór bywa” i jeżeli mu było miło tego wieczoru, to nie dzięki nam.

— A że zbliżała się godzina 23, a i program się nie kończył, zaproponowaliśmy panu dozorczy, że zajmiemy się bramą, dopóki to mu będzie potrzebne.

— Punktualnie o godzinie 23-ej zamknęliśmy bramę, odcinając się w ten sposób od wesołego tłumu karnawałowego, który przeciągał właśnie ulicą.

— Natychmiast też ktoś oderwał się od tego tłumu i zakłatał do bramy. Zapytaliśmy, do kogo — powiedział, że do nas. Zapytaliśmy, w jakiej sprawie — powiedział, że chciałby nam dać w mordę.

— Tu może pozwolę sobie na małą dygresję, że od czasu do czasu zdarza nam się z przyjacielem, że ktoś z nie znanych przyczyn chce nam właśnie dać.

— Tym razem to nie było z nie znanych przyczyn. Karnawałowicz był trochę na bańce i bardzo zrażony do ludzi w ogóle. Nie chciał dać nam personalnie, tylko jako przedstawicielom ludzkości, której był niechętny.

— Toteż zwlekaliśmy z otwarciem bramy. Po chwili przywiązał się do nas tak dalece, że już tylko nam chciał dać.

— W mordę, ma się rozumieć.

— A tu akurat jakaś pani z płaczem opuszcza klatkę schodową, też zrażona, ale tylko do mężczyzn, a w szczególności do inżyniera elektryka Bolesława Mazepy (II piętro m. 5), o którym źle się wyraża. Zdecydowanie źle.

— Widocznie coś tam ten Mazepa nie tego... No i żebyśmy otwierali bramę.

— A za bramą Karnawałowicz tylko tego i czeka.

— I wtedy myśmy jednak nie otworzyli, tylko naprawili stosunki między tą panią i inżynierem Mazepą, tak że ta pani wróciła tam i zmieniła zdanie. Jak to zrobiliśmy — trudno nam sobie uświadomić.

— Po prostu zdaliśmy się jakoś na instynkt samozachowawczy i samo jakoś poszło.

— Tylko ucichło po tej pani, Karnawałowicz spokojnie czeka sobie w bramie, jak człowiek pod jabłonią na dojrzewające jabłka, my z przyjacielem dojrzewamy...

— A tu znów kogoś słyhać na klatce schodowej.

— I to jak słyhać. Też zresztą był to człowiek nieco podchmielony i wymyślający mocnymi słowami, ale znów — sobie.

— Mój Boże! — podsumował już w bramie. — Gdyby tak jaki dobry człowiek dał mi po mordzie!

— No i wtedy oczywiście otworzyliśmy bramę i skontaktowaliśmy obu Karnawałowiczów.

— A dozorca też zaraz i zdjął nas z dyżuru. Niestety podejrzewał nas, że inkasujemy za bramę i nie ujawniamy.

— A myśmy przecież, na szczęście, nie zainkasowali tym razem z przyjacielem.

List z... ?

— Ten list kabluję półgłosem dla przyczyn, które w toku kablowania wyjaśnię. Nie podaję też z tych samych przyczyn nazwy dzielnicy, z której kabluję, ani placówki, o której kabluję. Przedwczesne ujawnienie bowiem, zdaniem moim, mogłoby przeszkodzić placówce w okrzepnięciu. Dlaczego zaś kabluję półgłosem i sam, bez przyjaciela — to również wyjaśni się, gdy pora będzie po temu sposobną. W tej właśnie bowiem nie ujawnionej dzielnicy zrodził się załążek wielkiego ruchu. Ruchu herbacia-

nego. Tu powstała jedyna w tym milionowym mieście placówka, gdzie można się napić dobrej, aromatycznej herbaty. Jedyna wysepka na bezmiernym krajo-
wym oceanie kawy, pachnąca różami Cejlonu. Wie. o tej reducie jedynie garstka wtajemniczonych herbacia-
rzy, do których i ja się zaliczam. Poznajemy się wśród obcych po łyżeczce do herbaty
umieszczonej dyskretnie w klapie marynarki (panowie) lub gdziekolwiek indziej (pa-
nie). Oczywiście herbaciarza od kawiarza odróżnić łatwo i po innych cechach, ale to
już w wyniku nieco dłuższego obcowania. Herbaciarz jest inteligentniejszy, wrażliw-
szy, bardziej refleksyjny i kontemplujący. Kawiarzowi natomiast nie brak energii, za-
trącającej niestety często o tupet, i zachłanności. To sprawia, że niewiele może liczniej
występujący od herbaciarza kawiarz zanurzył i skąpał całą niemal ojczyznę naszą w ka-
wie, nie zawsze zresztą najlepszej jakości. Niczego nie nauczyła go historia, a przede
wszystkim tego, że narody pijące kawę, jak np. w pierwszym rzędzie Arabowie, chociaż
i mają coś niecoś w dorobku (niektóre cyfry, gumę arabską, arabeski, konie arabskie),
dalekie są od osiągnięć narodów pijących dobrą herbatę, jak np. Chińczycy i Rosjanie,
nie mówiąc już o Anglikach itp. Warto by też dorzucić, że kawa nie uczy tolerancji.
Nie uznaje niczego poza śmietanką, podczas gdy pięknej lekcji tolerancji udziela nam

herbata, do której lejemy bez obaw a to Rum Jamaica, a to Czystą Eksportową, a to Bordeaux, Scotch Whisky, Liebfraumilch, Armagnac, Sherry de la Froteira, Tarniówkę, Cinzano, Cherry Cordial, Beaujolais, wino Krakus, Chianti, Risling, Malagę, Badacsony, Egri Burgundi, Dry Martini, Chateau Neuf du Pape, Maderę, Pieprzówkę (można i bez herbaty), Cointreau i wiele, wiele innych, otwierających szerokie światowe horyzonty przed każdym miłośnikiem herbaty.

— A więc, siostry teistki i bracia teiści (od tea, the — herbata), przyczajmy się (od czaj — herbata) dokoła naszej nowej placówki, której miejsca ani nazwy nie ujawniam z wiadomych względów. Kawiarzy (inaczej kofeistów) jest więcej od nas, ale nie zapominajmy, że my mamy jeszcze do pomocy cytrynę, kiedy herbata jest podła, a oni nie mają na podłę kawę żadnego środka. Cha! Cha! Cha! Jeżeli wytrwamy... Ale otóż i mój przyjaciel. Zapewne przynosi nowe wiadomości z frontu walki.

— Wiadomości, które przynoszę, nie są wesołe. Na rynku brak spodków do herbaty. Kofeiści znów wytłukli.

— Och!

List ze Szczęśliwic

— Dziś kablujemy nasz list ze Szczęśliwic. Danymi, które zebrał o Szczęśliwicach, podzieli się z naszymi kochanymi adresatami przyjaciel mój, pobudzony do tego specjalnie przeze mnie dobranymi pytaniami. Nazwa Szczęśliwiec — od czegoż ona pochodzi?

— Od słowa „szczęście”.

— Kto założył osadę tej nazwy?

- Znany z ciekawych pomysłów książę Pomysław Okrutny.
- Kiedy?
- O, już w czasach zamierchłych.
- Dlaczego tak ją nazwał?
- Ponieważ postanowił osadzić tam ludzi szczęśliwych.
- W jakim celu?
- Żeby ich mieć w kupie, na oku.
- Aha. A w jaki sposób czuwał nad ich szczęściem?
- Przy pomocy zaufanych, którzy, przebrani za szczęśliwych, miesza­li się z nimi i baczyli, czy nie ma wśród nich nieszczęśliwych, którzy tylko udają.
- I cóż działo się, kiedy wykryli takiego udającego?
- Donosili księciu i książę ścinał hipokrytę publicznie.
- Co doprowadziło... ?
- Do buntu szczęśliwych, którzy rozpoczęli walkę o prawo do tego, żeby móc być nieszczęśliwymi.
- I wywalczyli sobie to prawo?

— Wywalczyli — nie wywalczyli, w każdym razie otruli szczęśliwi księcia Pomyślna kawą z zatrutych żołądki. Książę był kawiarz.

— Metod nie miał najlepszych książę, ale sam pomysł ciekawy. Czy w związku z nim nie przyszło ci coś na myśl?

— Mnie przyszło. Założenie obecnie osiedla szczęśliwych pod nazwą Nowe Szczęśliwice przy pomocy zupełnie odmiennych metod.

— A to?

— A to w następujący sposób, który można oddać pod rozwagę czynnikom. Kandydatów i kandydatki na osiedlenie wytypowałbym przy pomocy ankiety, którą przeprowadzałyby moje specjalne wysłanniczki. Ankieta wskazałaby szczęśliwych kawalerów i szczęśliwe panny, z których na terenie osiedla mogłyby kojarzyć się szczęśliwie małżeństwa. Z tych małżeństw, oczywiście na zasadzie dziedziczności, otrzymalibyśmy szczęśliwy przyrost naturalny.

— Gdzie by wysłanniczki twoje przeprowadzały ankietę?

— Najczęściej wśród mieszkańców domów zagrożonych, bo to by ułatwiało dodatkowo przekwaterowanie.

- A gdyby trudno było o 100%-wych szczęśliwych?
- To by moje wysłanniczki ewentualnie doszczęśliwiały ankieterów.
- A jeżeliby to były ankieterki?
- Toby moi wysłannicy doszczęśliwiali.
- Byłby to bowiem... ?
- Byłby to bowiem personel wysoko kwalifikowany.
- Czy dofinansowywanie celem doszczęśliwiania wchodziłoby w grę?
- Nie, ponieważ pieniądze nie dają szczęścia.

List o japończykach

W czasie naszych podróży z przyjacielem zetknęliśmy się z przedstawicielami bardzo ciekawej narodowości, mianowicie z Japończykami.

— Ale nie w Japonii zetknęliśmy się, tylko tu, na miejscu, w restauracji dosyć wysokiej kategorii. Siedzieliśmy z przyjacielem w ten sposób, że mieliśmy państwa Japończyków, jego i ja, przed sobą, a oni mieli za swoimi plecami salę, na której było tego dnia jakoś szczególnie pogodnie.

— Bo to był dzień jakichś popularnych imienin i sporo było na sali solenizantów i ich gości. Powracając zaś... Aha, i jeszcze tłumacz siedział tak jakoś bokiem, na ukos. Powracając zaś do samych Japończyków, to wzrostu bywają raczej średniego, cery żółtawej, oczy mają o wykroju skośnym.

— Szczególnie jeden stolik za plecami naszych gości wesoło solenizował. To znaczy, rozumiemy przez to, że wszyscy tam ściskali solenizanta, śpiewali mu „Sto lat” itd.

— A natomiast nasi wyspiarze, czy to że nie obchodzili akurat imienin, czy też z innych przyczyn, bardzo umiarkowanie korzystali z alkoholu.

— Jeżeli dalej szukać przyczyn takiego zachowania, może się nasunąć przypuszczenie, że to właśnie fakt zamieszkiwania wysp nakazuje Japończykom trzeźwość.

— O cóż bowiem łatwiej nietrzeźwemu, niż spaść z wyspy do morza i utonąć?

— W każdym razie, tak czy owak, nasi cudzoziemcy oglądali się nieco zdziwieni, ilekroć imieninowa serdeczność wybuchwała za ich plecami bardziej żywiołowo.

— A tymczasem w toku rozmowy z nimi okazało się, że jest to naród bardzo utalentowany, dzielny, pracowity, a żółty z zupełnie innych przyczyn.

— Zależało nam też oczywiście na tym, żeby i nasze społeczeństwo wypadło w ich oczach jak najkorzystniej. A trzeba trafu, że w pewnej chwili przy stoliku za plecami naszych gości przyjaciel solenizanta, ten mianowicie, który go dotychczas najczulej pieścił i w ogóle solenizował, nagle chwycił obiekt swych zmiennych uczuć za gardło — i bez śladu niedawnego przywiązania z niecenzuralnym okrzykiem skoczył mu na pierś, przewracając wraz z krzesłem na ziemię. Jak to nieraz na imieninach.

— Natychmiast też poprosiliśmy tłumacza, żeby nie tłumaczył okrzyku, a sami z przyjacielem zaczęliśmy stawać na głowie, żeby przykuć uwagę Japończyków i nie dać im się oglądać.

— Ale ja osobiście nie staję za dobrze na głowie, tak jak przyjaciel, któremu podczas tego nawet nogawki się nie obsuwają, co szczególnie imponowało Japończykowi, natomiast niezbyt zajmowało Japonkę.

— I dlatego, podczas kiedy ja stałem na głowie, przyjaciel począł uwodzić córę Krainy Kwitnącej Wiśni, żeby odwrócić jej uwagę od turlającego się za jej plecami po dywanie duetu imieninowego.

— Kiedy jednak za pośrednictwem tłumacza posunąłem się niebacznie zbyt daleko i piękna Japonka zarzuciła mi ręce na szyję, wpiwszy w me usta swe usta, nie uszło to uwagi jej, jak się okazało, męża i w dodatku samuraja, który też natychmiast osunął się pod stół, by tam popełnić harakiri nożykiem do owoców, bardzo tępym.

— Teraz z kolei piękna Japonka oprzytomniała ze swej nieprzytomnej namiętności do przyjaciela, zajrzała pod stół i natychmiast otruła się trucizną, noszoną w pierścionku.

— Na szczęście oboje oni nie zobaczyli przed śmiercią naszych kotłujących się rodaków, w czym nasza niemała zasługa.

— Ale tych Japończyków żal nam było nad wyraz.

— Tłumacz to formalnie płakał.

List z wysokościowca

— Kablujemy tym razem ze szczytu wysokościowca, skąd cudowna panorama miasta w dzień pogodny. Odpocznij sobie. Przyjaciel zdyszany, bo winda nieczynna, ja natomiast przybyłem tu służbowym helikopterem jednego z inżynierów konstruktorów. Po drodze też zdobyłem pewne informacje, którymi chętnie się z przyjacielem i z państwem podzielę.

— Dlaczego w dobie raket te windy tak zawodzą u nas?

— Nie ma w tym nic dziwnego, jak mi wyjaśnił inżynier. Po prostu rozwój naszego budownictwa wyprzedził nasze windownictwo wysokościowe. I tak np. wożenie doświadczalne naszymi windami świnek morskich, myszy białych i królików angorskich (czerwone oczy) na X-te i wyższe nawet piętra dawało już doskonale wyniki. Zwierzęta dojeżdżały zdrowe, a nawet rozmnażały się po drodze. Niestety, przez znany brak koordynacji pierwsze wysokościowce (wspaniała panorama miasta z wyższych pięter w dzień pogodny) oddano do użytku w momencie, kiedy w Instytucie Dźwigania Osób trwały dopiero badania nad wożeniem doświadczalnego szympansa. W dodatku zwierzę było niesłychanie złośliwe, nieustannie psuło windę, strojąc na domiar złego obrzydliwe miny do lustra we wspomnianej.

— Czemu przypisać nieprzyjemny zapach, panujący w niektórych naszych wysokościowcach, również i na wyższych piętrach, skąd cudowna panorama miasta w dzień pogodny?

— Śmieciom przypisać. W normalnym domu niskościowym obywatel wynosi śmieci w kubek. I z domu usunie, i sam się przewietrzy. W wysokościowcu śmieci wyrzucane są do nowoczesnych zsyków. A trzeba wiedzieć, że śmieć z kilkudziesięciu miesz-

kań leżący w zsywie kilkadziesiąt tygodni — on tam gnije, butwieje i zapach jego staje się z dnia na dzień mniej przyjemny, atakując przechodniów i stałych lokatorów, bez różnicy zawodów.

— A jak to się dzieje, że lokatorzy najwyższych nawet pięter. . .

— Skąd cudowna panorama miasta w dzień pogodny?

— Skąd cudowna w pogodny — cierpią na reumatyzm?

— To jest tak oczywiste, że inżynier aż się śmieje z takich pytań. Po prostu normalna rura wodociągowa, wyciągnięta do długości kilkunastu pięter — ona robi się cienka, tzn. jej ścianki — o takie, o, się robią. I niech tylko mróz czy woda za gorąca — one trzaskają, zalewają ściany i reumatyzują lokatorów.

— To nawet rzeczywiście śmieszne, żeby one nie trzaskały, jak one o takie, o. . . Cha! Cha! Cha!. . . Sam nawet napór wody wystarczy, żeby one, zwłaszcza na wyższych piętrach, skąd cudowna panorama miasta w dzień pogodny, pękały.

— A oczywiście tegoż zdania jest i sam inżynier.

— A czy widzi on jakąś radę na ten stan rzeczy?

— On widzi. W od dawna zresztą diskutowanych wysokościowcach poziomych, a nie pionowych, jak dotychczas. Tzn. taki wysokościowiec by sobie leżał, nie stał jak jaki kołek.

— Ale wtedy nie mógłby się nazywać wysokościowiec?

— Mógłby za to nazywać się długościowiec.

— I co wtedy z cudowną panoramą miasta z wyższych pięter w dzień pogodny?

— No więc inżynier gwarantuje, że wtedy nie będzie cudownej panoramy. I na podstawie przebiegu całej rozmowy myślę, że można mu wierzyć.

List z Ogrodu Saskiego

— Cóż to jest Saski Ogród?

— Jest to połąć, rozciągająca się w centrum stolicy między ważnymi arteriami.

— Pokryta jest ta połąć. . . ?

— Pokryta. Drzewami liściastymi i takimiż posągami, jeżeli weźmiemy pod uwagę listki figowe. O tyle jednak, o ile liście z drzew opadają tam na jesieni, listki figowe z posągów — niezależnie od pory roku.

— I dlaczegoż to tak?

— Ponieważ młodzież, zaludniająca ten park i zajmująca się m.in. obtlukiwaniem listków wraz z ich zawartością, nie przestrzega praw natury.

— Czy tylko posągi tłucze młodzież?

— Nie, nie tylko. Ona tłucze, bodaj że chętniej nawet, przechodniów, spacerowiczów itd.

— Jaka to jest młodzież?

— Przeważnie męska, zdrowa. Toteż i zdrowo tłucze.

— Tylko męska?

— Tak, bo jak jest mieszana, to zajmuje się innymi sprawami.

— W jakich godzinach ona tłucze?

— To zależy od zawodu. Wolne zawody to raczej w godzinach urzędowych (8-16), a urzędników oczywiście w późniejszych godzinach.

— Dlaczego?

— Bo urzędnicy zajęci są w urzędowych godzinach.

— A ciebie (tzn. przyjaciela) kiedy zaczęła tłuc młodzież w Saskim?

— Mnie to zaczęła w godzinach urzędowych i zahaczyła mną o dalsze, bo ja to właściwie trochę jakby na etacie, a trochę wolny zawód, więc tak. . .

— Nie wzywałeś pomocy?

— Nie, bo nie miałem akurat stacji krótkofalowej. Nadawczej oczywiście.

— Tak, bo odbiorcza tu na nic.

— A jakbym miał nadawczą, to bym nadawał co pół minuty sygnał SOS na krótkich falach oczywiście.

— Te krótkie fale to swoją drogą jest osiągnięcie.

— Zwłaszcza w takich wypadkach. Radiowóz milicyjny odbierze takie sygnały. . .

— I przyjedzie?

— No, nie zawsze. Wtedy na przykład to by nie przyjechał, bo na ulicach akurat śnieg kopny, a miejscami gips nawiany. Częściowo znów jezdni tzw. zbagniona, czyli że motor może zalać albo słuchawki milicjantom zachlapać i wtedy tego efektu pożądanego nadawanie sygnałów nie daje.

— A czym cię biła młodzież?

— Ręką.

— Po prostu gołą ręką?

— Po prostu gołą ręką z pomnika króla Jana Sobieskiego.

— A skąd mieli? Urwali królowi?

— Urwali i przynieśli. W tym celu.

— Aha. A może to była ręka tego Turka, co pod królem.

— Być może. W dotyku to jest minimalna, niewyczuwalna różnica.

— Muszę stwierdzić, że jednak, jak na ciebie, to nieźle po tym wyglądasz.

— Bo to nie trwało długo. Akurat szła od hotelu Europejskiego wycieczka zagraniczna i chłopaki poszli patrzeć, jak będzie składać wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

— A grób Nieznanego Przechodnia też tam ma stać?

— Tak, w tym mniej więcej miejscu, gdzie mnie lali.

— A powiedz, ładnie teraz w Saskim Ogrodzie?

— Wiesz, niebrzydko... Ale, jak już zobaczyć i umrzeć, to lepiej — Neapol.

List o kablu

— Zmuszony jestem przeprosić państwa w imieniu przyjaciela, czasowo nieobecnego, oraz moim własnym za dłuższą przerwę w kablowaniu naszych listów z podróży, ale znaleźliśmy się podówczas w trudnym położeniu. Zabrakło nam mianowicie kabla. A tu akurat na rynku nie było o kabel najłatwiej. To znaczy był kabel z importu, za dewizy, mianowicie w cenie ćwierć funta angielskiego za arszyn, ale ani tego przeliczyć na nasze jednostki, bo akurat fachowiec od przeliczeń na bezpłatnym urlopie, ani wyko-

rzystać, bo kabel angielski, przekrój 0,061673, tak że same litery się przekabluje, ale już znaków dodatkowych — kropek, kresek, ogonków itp. — już nie, bo Anglicy tego nie używają. Praktycznie biorąc, zdanie „znaleźliśmy się w trudnym położeniu” przekablowane takim kablem brzmiałoby: „znaleźliśmy się w trudnym położeniu”, co oczywiście zrozumieć można, ale zadowolenia taki kablogram nie daje, a nawet może zniechęcić do odbioru. No i zresztą — skąd te dewizy? Ćwierć funta za arszyn, to ileż pudów angielskich by trzeba, zważywszy, że na list wychodzi nam przeciętnie do 12 sążni kabla, licząc nawet po 93 słowa na stopę, która ma 30 centymetrów, to znaczy — moja, bo przyjaciel ma niniejszą, tylko tak się wydaje, gdyż lubi wygodne obuwie. Łokcie mamy za to jednakowe.

I właśnie w tej trudnej nad wyraz sytuacji ludzi poszukujących za wszelką cenę kabla korespondencyjnego dowiadujemy się, że jest pewien facet, który posiada na zbyciu kabel krajowy, eksportowy, ale że trzeba strasznie uważać, bo potworny kanciarz. Rzeczywiście — brunet łysawy, oczy przezroczyście, przyzwoicie ubrany, przywitał nas, przedstawił się i od razu zaczęli nas z przyjacielem kantować. Nie wiem, czy my mamy coś takiego w oczach, czy gdzie, ale chętnie nas kantują, a ten to już doprawdy po pół

godzinie zrobił z nas istne graniastosłupy, chociaż przez cały czas, zgodnie z przestroga, strasznie uważaliśmy. Sprzedał nam za grube pieniądze około 50 km makaronu krajowego typu spaghetti w charakterze kabla eksportowego. Oczywiście, zwłaszcza przy obecnej pogodzie, makaronem nie sposób przekablować nawet jednego zdania, a co dopiero cały list. Zmuszeni byliśmy więc odprzedać nasze spaghetti pieszej wycieczce bezdewizowej, która udała się do Włoch z własnym makaronem. Niestety, ów nieuczciwy kanciarz sprzedał nam ten makaron, napełniony powietrzem zupełnie pozbawionym tlenu, tak że wycieczka, obecnie w Mantui, dusi się podczas jedzenia, rozpuszczając po całym półwyspie, przy pomocy tłumacza, pogłoski, jakobyśmy to my z przyjaciółmi byli kanciarzami. Przyjaciel załamał się i zaprzestał na czas jakiś podróży, a ja bym prosił osoby udające się do słonecznej Italii o zwalczanie w języku włoskim tych, krzywdzących nasze dobre imię, inwektyw. Dziękuję państwu.

List z piekarni „Mastodont”

— Spotkaliśmy się na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Karowej, koło hotelu Bristol, z zarzutem, że w naszych listach z podróży nie poświęcamy ani odrobiny miejsca zakładom przemysłowym. Prawdę mówiąc, to nawet sami postawiliśmy sobie z przyjacielem taki zarzut, przechodząc koło hotelu Bristol, dokąd nieraz udajemy się pod pozorem zahulania w tamtejszej restauracji, a w gruncie rzeczy, żeby zaopatrzyć się w pyszne, miniaturowe bułeczki, sporządzane dla cudzoziemców w specjal-

nym laboratorium przyhotelowym. Od bułeczki do buły, od laboratorium do kombinatu piekarniczego i tak — w wyniku pogawędki postanowiliśmy wypełnić tę naszą lukę przemysłową — piekarnią „Mastodont”. List, który stamtąd pochodzi, znów przekabluje państwu sam, bo przyjaciel na razie wciąż jeszcze nie kabluje z przyczyn podanych w poprzednim liście. Oto kilka danych statystycznych dotyczących piekarni „Mastodont”, tego gigantycznego kombinatu produkującego pieczywo. Mąki pszennej, a także żytniej zużywa rocznie piekarnia tyle wagonów, że pociąg towarowy, złożony z takiej ilości wagonów, przejechałby odcinek (dzieci, notujcie) długości 300 km w ciągu 10 godzin, poruszając się z szybkością 30 km/godz. Bułek kajzerek, paryskich, razowca czterokrotnego, obarżanków sandomierskich, rogalików rypińskich, chleba pszennego karkonoskiego, bieszczadzkiego, sitka wschodnio — i zachodnio-beskidzkiego — produkuje „Mastodont” dziesięciokrotnie więcej niż odpowiednio mniejsze największe inne zakłady tego typu. Sala kina „Wisła” wraz z dopływami, tzn. kinami „Dunajec”, „San”, „Wieprz” — panoramiczny, „Brda”, „Pilica” itd. — nie starczyłaby, żeby pomieścić wszystkich pracowników „Mastodontu” wraz z rodzinami, znajomymi i ludźmi obcymi, którzy też by przyszli, gdyby film był atrakcyjny. W tej liczbie pięciu specjali-

stów od rozróżniania smaku poszczególnych gatunków pieczywa, również sitka zachodnio — od wschodnio-beskidzkiego. Widok samego kombinatu piekarniczego jest tak imponujący, że patrzący nań trzydziestoletni mężczyzna wagi 72, wzrostu 176, numer kapelusza 8 i pół, czuje się najedzony do syta, w zależności od gustu, bułkami kajzerkami. paryskimi, razowcem czterokrotnym, obarzankami sandomierskimi, rogalikami rypińskimi, pszennym karkonoskim, bieszczadzkim itd., itd. Pierwszy pieczmistrz, Walerian Zupełny, zaznajomił nas z całym cyklem produkcyjnym — od spychaczy żytnich, samokroczących, poprzez miesidła cyklotermiczne, kminkowe, drożdżowniki rozrzutowe, piece krateroszczelne kwaśne — cyklem naprawdę imponującym. Z dumą starego, głęboko przywiązanego do swego zawodu pracownika piekarnictwa demonstrował nam pieczmistrz Walerian, do czego ten cud techniczny doprowadza garść zwykłej mąki zbożowej. Oto bułeczka, którą podarował nam na pamiątkę ob. Zupełny, odbija się zarówno od podłogi, jak i ściany w sposób zaskakujący. Trudno o bardziej elastyczne pieczywo.

Niestety, nie zawsze cykl produkcyjny daje tak świetne wyniki i list ten zakończyć muszę smutnym akcentem.

Starszy drożdżowy Kiniak Stanisław wychodził tego dnia do pracy w „Mastodencie”, nucąc wesoło. Nie wiedział, przechodząc koło domu nr 42, że przez okno wyleci, rzucona ręką karygodnie lekkomyślnego konsumenta, bułeczka, parka, która, trafiając w głowę starszego drożdżowego, będzie tą, przez niego samego wyprodukowaną, parką, która przetnie nić jego żywota. Obywatele, nie rzucajcie pieczywem!

List z ulicy Kraniaka i Dziwalewicza

— Kabluję państwu dzisiaj, wciąż jeszcze sam, bez przyjaciela, z ulicy Kraniaka i Dziwalewicza. Ulica ta dzisiaj różni się bardzo od owej sielskiej uliczki Kurzej z końca ubiegłego wieku, na której rozegrało się dzieciństwo, młodość, wiek męski, a także starość obu przyjaciół. A jednak dziś jeszcze duch tej przyjaźni unosi się nad nowoczesnymi blokami ulicy, a w blasku słońca, które je w dni pogodne opromienia, jest coś z uśmiechu Kraniaka i Dziwalewicza. Dzieciństwo obu tych wybitnych ludzi przebie-

gało tu nigdyś równolegle, ale nie zazębiając się o siebie wzajem, chociaż, jak ustaliły najnowsze źródła, uczęszczali do tego samego dentysty, dr Zuppenhofera. Kraniak dzieciństwo miał trudne, będąc synem fryzjera męskiego, u którego ujawniło się po latach, że w rzeczywistości jest fryzjerem damskim, niestety zbyt już późno, żeby zdążył zdobyć sobie nową klientelę. Dzieciństwo Dziwalewicza należy uznać za znacznie lepsze. Aczkolwiek ojciec jego grywał na wyścigach, to jednak na klarncie (repertuar przeważnie patriotyczny), i w związku z tym nie przegrywał, chociaż i nie zarabiał zbyt dużo. Pierwsze spotkanie Kraniaka z Dziwalewiczem nastąpiło w miejscu, gdzie nigdyś znajdowała się kawiarenka „Łakotka” małżeństwa Pierników, a dziś wznosi się Salon Podrobowy. Do pełnej o tej porze kawiarenki wszedł Dziwalewicz i podszedł do stolika, przy którym Kraniak dopijał właśnie kawę z rogalikiem.

— Czy to miejsce wolne? — spytał Dziwalewicz. Kraniak podniósł na niego spojrzenie swych inteligentnych, nieco blisko nosa osadzonych oczu:

— Wolne — odparł i Dziwalewicz, jak to miał w zwyczaju, ciężko nieco przysiadł się był. I tak zaczęło się między nimi to, co po latach doprowadziło do niebieskiej tabliczki z białym napisem ULICA KRANIAKA I DZIWALEWICZA. Już w roku następ-

nym rozpoczęli wspólne dzieło, przy którym mieli wytrwać do końca. Kiedy Kraniak z sił opadał, Dziwalewicz podtrzymywał go na duchu. Kiedy Dziwalewicz był bliski załamania, Kraniak dźwigał go moralnie.

„Nigdy bym tego nie dokonał — pisał Kraniak po latach do Izabeli z Dziwalewiczów Tytoniowej — gdyby nie Dziwalewicz. Pozdrów Gucię. Henryk.” A Dziwalewicz tak kończył swój ostatni list do sędziwego już Feliksa Dunin-Buzdygana:

„Wszystko zawdzięczam Kraniakowi. Twój A. Dziw. Warszawa 12 kwietnia 1908”.
W życiu prywatnym byli pogodni, dowcipni. Kraniak, śpiesząc się kiedyś na pociąg do Kutna, nie zwolnił kroku, mimo iż stwierdził, że minęła godzina odjazdu pociągu. Napotkanemu znajomkowi, który nagabnął go o przyczynę pośpiechu, odpowiedział:

— Śpieszę na pociąg do Kutna.

— Cha, to się spóźnisz, do kata, bo już odszedł — zawołał znajomek.

— Wiem, ale chcę mieć małe opóźnienie — odparł Kraniak i popędził dalej wśród homeryckiego śmiechu przechodniów, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań.

Dziwalewicz nie ustępował Kraniakowi pod względem poczucia humoru. Na przyjęciu u barona Q., znanego aroganta, na zapytanie gospodarza, czy posiada jakiś obcy język, Dziwalewicz odpowiedział z miejsca:

— Owszem, panie baronie. Wieprzowy — i nałożył sobie na talerz porcję ozora w galarecie. . .

Zaraz. . . chwileczkę. . . Najmocniej państwa przepraszam, ale do mojego listu wkra-
dły się pewne nieścisłości. . . To nie Dziwalewicz wszedł pamiętnego dnia do kawiaren-
ki „Łakotka”, tylko Kraniak. . . Tak. Dziwalewicz natomiast już tam siedział. To on
odparł: „Wolne”. I on, Dziwalewicz, pisał po latach do Izabeli, która była z Kraniaków,
a nie z Dziwalewiczów. Natomiast Kraniak pisał do Feliksa Dunin-Buzdygana. A na
pociąg do Kutna śpieszył się. . . zaraz, nie — to niepotrzebnie chciałem sprostować, bo
śpieszył się. . . tak, oczywiście. . . Kto się śpieszył? Chwileczkę. . . Proszę państwa, ja
to wyjaśnię w oparciu o źródła, którymi w tej chwili nie rozporządzam, i przy okazji
powiadomię. Przepraszam.

List o załamaniu się

— Dziś będę kablował po dłuższej przerwie, ale z kolei znów ja sam — o załamaniu się mojego przyjaciela. Otóż przyjaciel, czy dlatego że ostatnio kablował sam, przez czas pewien, czy też z innych przyczyn, wziął i załamał mi się, o czym świadczy choćby ten oto list, który otrzymałem od niego w sprawie naszych listów z podróży.

— Drogi przyjacielu! — pisze przyjaciel. — Nie czuję się na siłach kablować dalej naszych listów. Zniechęciłem ja się i załamałem bowiem. W każdej pracy potrzebna jest

odrobina zachęty, dowodów uznania czy bodziec materialny. Tymczasem, jak wiesz, nic nas takiego nie spotkało ani ubodło. A kto, jeżeli nie my z tobą, kablujemy niestrudzenie, nieraz to i w ciężkich warunkach atmosferycznych, bo to lato takie fatalne, niejednokrotnie posiłkując się makaronem eksportowym zamiast kabla, czasem narażając się osobiście, a zawsze niosąc ciekawe wiadomości historyczne i zbliżając do adresata takie postacie, jak Ignacy Szlamik, powodzianin, jak pieczmistrz Walerian Zupelny, jak Krański i Dziwalewicz, serdeczni przyjaciele, i wielu innych. W takim stanie rzeczy kabluj ty sam, drogi przyjacielu, jeżeli masz ochotę. Ja rozpiję się raczej i stoczę na dno. Twój, do granic możliwości oddany Ci — Przyjaciel. — I istotnie, już kiedy czytałem ostatnie słowa listu, przyjaciel mój, który list mi doręczył osobiście, zaczął się na moich oczach rozpijać, w dodatku moją osobistą pełnopłatną Soplicą eksportową, i staczać na dno, uzyskując połączenie telefoniczne z niejaką Możenką Nocówną. Kiedy jednak, jedną ręką trzymając kieliszek napoju, drugą „wybierał” na tarczy żądany numer, odezwałem się do niego w te słowa: — Dróżnik Miazga Rajmund, widząc dwa pędzące na siebie po jednym torze pociągi, nie załamał się ani nie rozpił, tylko położył się w poprzek

toru, co widząc maszyniści, w obawie przejechania odpoczywającego człowieka pracy, zahamowali w porę, chociaż przezorny Miazga i tak leżał na torze sąsiednim.

Przykład był trafnie wymierzony. Przyjaciel zachwiał się, odstawił nie tknięty kieliszek, a z drugiej ręki wypadła mu słuchawka po nakręceniu numeru. Na naprężonym przewodzie zawisło zmysłowe „Hallo. . . Hallo. . .” M. Nocówny, kiedy ścisnął mi dłoń, zalany łzami wdzięczności. Był uratowany. Radość nas obu z tego powodu była (i nie dziwota) tak wielka, że postanowiliśmy podzielić się nią z kimkolwiek. Wybraliśmy w tym celu panie Nocównę z przyjaciółką, zapraszając obie na ową ocalałą flaszkę trunku, którym doprawdy szcycić się może nasz eksport, tak ze względu na smak, jak i stwarzanie uroczego, bezpretensjonalnego nastroju u konsumenta.

List z własnej ulicy

— Nie macie, państwo, pojęcia, jak to przyjemnie mieć własną ulicę.

— I to jest jeszcze o tyle przyjemniejsze, że dostarcza samych rozkoszy posiadania, bez żadnych obowiązków czy kłopotów związanych z tym stanem. Ot, chodźcie sobie od rogu do rogu, czytacie z satysfakcją tabliczki, że to właśnie ulica imieniem naszego nazwiska, i cieszyć się, że taka ładna czy ruchliwa, czy dobrze zaopatrzona, czy też że ogonki na niej doborowe...

— Czy że wypadki ciekawe. Macie własną ulicę, a jednocześnie nie musicie jej zamiatać, polewać, poprawiać waszych chodników, łatać dziur w waszej jezdni. . .

— Albo np. strzyc drzewa, jeżeli są na waszej ulicy, też możecie — nie?

— Ten brak obowiązków, związanych z posiadaniem ulicy, płynnie może stąd, że jak już posiadacie własną ulicę, to już przeważnie jesteście nieboszczykiem i gdzież wam wtedy w głowie zamiatanie itp. Jednym słowem dobrze jest i arcyprzyjemnie mieć własną ulicę i nic dziwnego, że my z przyjacielem, stykając się w naszych podróżach z licznymi, nieraz bardzo atrakcyjnymi ulicami, zapragnęliśmy gorąco ulicę własną posiadać.

— Jednocześnie postanowiliśmy o tyle pójść na rękę władzom miejskim w przydzieleniu nam ulicy, że zdecydowaliśmy się z przyjacielem na jedną wspólną ulicę, a nie na dwie — dla każdego osobną. Trochę nam chodził nawet po głowie plac, ale szybko zrezygnowaliśmy z placu.

— Do placów miasto nasze nie ma zbyt wielkiego szczęścia. Albo wychodzą nam one cokolwiek za duże, albo za małe, jak np. plac Księcia Józefa w Łazienkach, na którym z trudem mieści się ogier zatopionego bohatera.

— Co prawda ten ciekawy szczegół biograficzny, że książę jeździł na ogierze, tu rzuca się w oczy, a zupełnie uchodziłby uwagi na przestronniejszym miejscu, więc może to dlatego.

— Szaloną ochotę mieliśmy z przyjacielem na ulicę Agrykola. Jest bardzo malownicza, a nocą zwłaszcza przypomina Neapol. Można ją zobaczyć i — umrzeć.

— Ale cóż z tego, że zawieszono by na niej tabliczki z naszymi nazwiskami — wszyscy nazywaliby ją po dawnemu, jak dzieje się ze zmianami nazw ulic, do których ludzie są przywiązani.

— Wyszukaliśmy więc w spisie ulic nazwę, do której nikt się chyba specjalnie nie przywiązywał. Była to ulica Na Bateriajce. Ale tu znowu opadły nas wątpliwości. Po przemianowaniu czas jakiś ulica będzie się nazywała ulica Nas z Przyjacielem, dawniej Na Bateriajce. To będzie tak brzmiało, jak gdybyśmy to my byli dawniej na bateriajce, a teraz podłączeni do sieci czy coś podobnie upokarzającego.

— Zresztą do czegoś tam w życiu się doszło, wypadałoby mieć coś w centrum, a nie na peryferiach. Już lepiej nam pasowała ulica Księcia Sanguszki, który posiada w ludowej stolicy ulicę z wytwórnią papierów wartościowych, co już jest naszym zdaniem

lekką przesadą. Ale mamy też taką zasadę, żeby nikogo nie wyślizgiwać z istniejącego stanu posiadania, więc też — zrezygnowaliśmy. Nikomu z przyjaciół świń nie podpuszczamy.

— Tym bardziej że akurat trafiła nam się bardzo odpowiednia kandydatura w centrum i pod każdym względem naprawdę atrakcyjna, z którą to kandydaturą wystąpiliśmy do Władz Miejskich o przyznanie nam własnej ulicy.

— Władze ustosunkowały się bardzo pozytywnie i nawet serdecznie do naszego podania, tym bardziej że nie pociąga to za sobą konieczności zmiany nazwy tej ulicy.

— No i mamy nie tylko ulicę, ale nawet aleję. Może niezbyt długą, ale efektowną, w świetnym punkcie. I nosi nasze imię. Jest to Aleja Przyjaciół.

List o kominkach

— To dziwne. Jesień stała się właściwie dominującą porą w naszym klimacie. Z króciutkimi przerwami reminiscencyjnymi typu wiosennego, letniego czy zimowego. . .

— I tu jakże nie przyklasnąć inicjatywie pewnej Dzielnicowej Rady Narodowej. . .

— Czekaj. Przerywasz mi wpół zdania. Z króciutkimi może nawet nie tyle przerwami, co przerywnikami wspomnianych typów panuje ona wszechwładnie jak rok długi i szeroki, wionąc wichrami, mżąc dżdżami, zacinając deszczami i przejmując chłodem.

A jednak na duszy robi nam się jesienią wtedy, kiedy nadchodzi jej dawna, pradawna pora, kiedy wpływamy w jej, klimatycznie już dawno nieaktualne, obszary, jak w opuszczone dawno łożysko szeroko rozlanej rzeki.

— I tu jakże nie przyklasnąć inicjatywie Dzielnicowej. . .

— Czekaj. Tu, na tych dawnych obszarach jesieni, opanowuje nas dopiero ów dodatkowy jesienny smutek w/g wzoru: wszystkie nasze codzienne smutki plus ten dodatkowy = jesień. Stajemy się wtedy jeszcze bardziej spragnieni zrozumienia ze strony innych, bo jeszcze mniej rozumiali dla samych siebie. Spragnieni ciepła, ciszy, muzyki. . .

— I tu jakże nie przyklasnąć inicjatywie. . .

— Czekajże. . . — Albo — przyklasnij już.

— I tu jakże nie przyklasnąć inicjatywie jednej z Dzielnicowych Rad Narodowych, która wyszła na spotkanie tej właśnie wewnętrznej jesieni, osiadłej w sercach obywateli. Cóż bowiem uczynili radni miejscy owej dzielnicy? Ot, po prostu ustawili na skrzyżowaniach niektórych ulic — kominki i polecieli rozpalić na nich wieczorami wesołe trzaskające ognie. Przy kominkach, pod daszkami, ustawiono kanapki i fotele, na których

zaczął się też natychmiast gromadzić tłum jesiennych przechodniów. Ludziska przysiadali się, grzali dłonie i serca, a złote refleksy ognia, pełgające po ich twarzach, pędziły precz smutek i wszelkie zgryzoty. Już po chwili przestawali ponuro wyrzekać na to czy owo, a zaczęli psioczyć pogodnie, z umiarem.

— Czemu przysłuchiwali się pilnie przebrani za zwykłych obywateli i w tłum wmieszani radni miejscy. Nieraz to i sięgnie który do kieszeni po notes i ołówek i skrzętnie coś zapisze. A na drugi dzień rano rozlega się przy ulicy np. Subskrybentów raźnie „Heej rób! Heej rób!”. To grupa radnych przenosi własnymi siłami niesprawiedliwie ustawiony przystanek autobusowy. Niesporo im to idzie, nie nawykli, przecież przeniosą!

— A któż to z narażeniem życia wspina się na latarnię przy pl. Oświaty, żeby zainstalować nową żarówkę w miejsce dawno przepalonej? Któż by, jeśli nie radny N., który dowiedział się wczoraj przy kominku o tym mankamencie, może i rąbnie go prąd odrobinę, żarówkę wkręci wszakże.

— A cóż to za śpiewy i tańce nieporadne jakieś, ale szczerze i z serca płynące? To grupa radnych ożywia w parku im. Ekspedientów rozrywkową martwość dzielnicy.

— A któż to w wieczór jesienny odwiedza smutnego obywatela, którego przez nie-
dopatrzenie nie podłączono do ciepłowni? Trzech radnych. — Podłączyć pana nie pod-
łączymy, kochany, bo nie znamy się na tym — mówią ciepło, rozsądnie — ale w brydża
z panem zagramy przy kominku.

Itđ., itd. — przytaczamy tylko drobną część takich przykładów.

— A kiedy pytano radnych o ten niezwykły stosunek do obywatela, odpowiadali:

— Organizatorzy to my nie jesteśmy, więc za to serca jesienią nie szczędzimy.

— A po tych słowach brali adaptery i płyty z Pieśnią Jesienną Czajkowskiego i szli
grać obywatelom przy kominkach, gdy zmierzch zapadnie.

List z muzeum

Nasz list z podróży do muzeum chcieliśmy poświęcić głośnemu malarzowi holenderskiemu, a to ze względu na wystawę jego dzieł, a tymczasem bohaterem naszego listu będzie skromny woźny tego muzeum.

— Zaopatruje on zwiedzających w bambosze. To znaczy, obecnie już nie zaopatruje z przyczyn, które podamy dalej, ale — nie wątpimy w to — nie zaopatruje przejściowo.

— Niemłody już ten pracownik kultury i sztuki od razu odniósł się do nas z niezwykłą przychylnością. Kiedy włożyliśmy bambosze, uważnie zaczął przyglądać się naszym stopom: — Ano, niech panowie przejdą się trochę tam i z powrotem — powiedział. Przy tej okazji stwierdził, że przyjaciel ma za obszerne bambosze.

— Bambosz za obszerny grozi kalectwem — ostrzegł mnie. — Sam widziałem, jak koncypient przedsiębiorstwa miejskiego wdepnął na zbyt obszerny bambosz pracownikowi Zakładów Oczyszczania i nadeptęty zwałił się wskutek tego ze schodów muzealnych, doznając dotkliwych obrażeń i narażając na także wycieczkę działaczy spółdzielczych z Wyrzyska (woj. bydgoskie), którą strącił ze stopni.

— Ja natomiast miałem za krótkie sznurki u swoich bamboszy, które w związku z tym były za ciasno przywiązane. Usłyszałem też z ust woźnego wstrząsający opis tragicznych przeżyć magistra farmacji, który, zbyt ciasnymi sznurkami przywiązując bambosze, skrępował sobie arterie, co skróciło mu znacznie krwiobieg w czasie zwiedzania muzeum. Krew latała po magistrze jak oszalała, przemęczając serce, które też przed jednym z ciekawszych eksponatów odmówiło posłuszeństwa magistrowi. . .

— Przyznam się, że trochę nas zdeprimował woźny tymi opowiadaniem, ale też i ze specjalną starannością zaczęliśmy dobierać kapeć za kapciem, w czym zresztą pomagał nam, jak mógł, snując nadal wspomnienia zdarzeń, których był świadkiem.

— Nie daj Boże — wspominał między innymi — sznurki się rozwiążą w czasie zwiedzania. Pewnemu krótkowzrocznemu motorniczemu rozwiązały się sznurki od bamboszy i przez nieuwagę, zawiązując niby własne, przywiązywał sobie do swoich nóg sznurki od bamboszy dziewcząt z Liceum Ogólnokształcącego nr. . . nie pamiętam już który, z Pabianic, zwiedzających grupowo. Jego rozpaczliwe późniejsze szamotanie się z przywiązanymi do niego dziewczętami, przewracanie ich, wleczenie po schodach z głowami głucho tłukącymi po stopniach odwróciło uwagę wszystkich zwiedzających od bezcennych dzieł sztuki w zupełnie niewłaściwym kierunku. Przecinając potem w panice kozikiem więzy, łączące go z ofiarami, przeciął w ten sposób również ich więzy ze sztuką, bo dziewczęta już nigdy więcej nie śmiały pokazać się w muzeum, tym bardziej że owego fatalnego dnia konfekcyjnie nie były przygotowane na tę przygodę.

— Zbliżała się godzina zamykania muzeum. Za sobą mieliśmy stos przymierzonych bamboszy, ale ani jedna para nie była dla nas — zdaniem naszego przyjaciela — odpowiednia. — Nie, kochani — podsumował — nie dam wam się narażać na skutki zwiedzania galerii w bamboszach śmierci lub kalectwa. Idźcie do domu, tym bardziej że zamykamy.

— Więc poszliśmy. Z jednej strony zadowoleni z uniknięcia dużych niebezpieczeństw, z drugiej — przygnębieni tym, że jednak nie udało nam się zobaczyć głośnych płócien genialnego twórcy.

— Przygnębienie nasze nie trwało atoli długo. Właśnie dopijaliśmy wieczorną herbatę, kiedy rozległ się dzwonek w przedpokoju i już po chwili ściskaliśmy dłoń rozpromienionego woźnego, który w drugiej dłoni trzymał wielki, owinięty w gazetę rulon. Po rozwinięciu rulon ten okazał się słynnym obrazem holenderskiego mistrza pt. „Kwitnące jabłonie”, z narażeniem na duże przykrości przyniesionym nam przez naszego przyjaciela do obejrzenia w domu, bez bamboszy.

— I oto, dzięki pełnej poświęceń postawie skromnego pracownika muzeum, mieliśmy możliwość kontemplować zachwycające płótno przez długie godziny w spokoju

domowego zacisza. Odtąd co wieczór nasz nowy przyjaciel przynosił nam coraz to inne płótna i bylibyśmy w ten niezwykły sposób poznali i całą galerię, gdyby pewnego dnia nie aresztowano go pod zarzutem kradzieży obrazów. A przecież za każdym razem, biorąc nowy, poprzedni odwieszał na miejsce.

— Oczywiście w procesie, który ma się odbyć, będziemy świadczyli z przyjacielem na korzyść nieskazitelnego kolportera sztuki, który zostanie niewątpliwie zwolniony od ciężących na nim zarzutów. Uważaliśmy jednak za swój obowiązek, na tle toczącej się kampanii o zmianę stosunku do klienta, przytoczyć ten przykład, jako ostrzeżenie dla tych pracowników instytucji, handlu czy urzędów, którzy w wyniku tej kampanii, pokochają klienta miłością zbyt nagłą, zbyt wielką i szaloną.

List o dziadku Paźdierzaku

— Chcielibyśmy w tym liście pokusić się o przybliżenie do naszego adresata malowniczej postaci dziadka Paźdierzaka, z którym zetknęliśmy się świeżo w okresie świąt Bożego Narodzenia u pp. Zet, gdzie dziadek Paźdierzak pełnił funkcje choinki. Pp. Zet nie zdołali bowiem zaopatrzyć się w tradycyjne drzewko i wynajęli jako je — dziadka Paźdierzaka.

— Który to dziadek bardzo chętnie podejmuje się różnych usług za umiarkowaną opłatą, byle nie banalnych. (Banału dziadek nie znosi.)

— I tak u pp. Wu dziadek Paździerzak pełnił na imieninach obowiązki wieszaka, na który w mieszkaniu pp. Wu nie ma miejsca. Tzn. stał na klatce schodowej z paltami gości. Niestety goście, opuszczający gościnny dom solenizantów, oprócz swych okryć, zabrali również paltocik dziadka (na mordkach króliczych), a nawet rozebrali go do bielizny, czego sam wieszak nie spostrzegł, gdyż zasnął głęboko pod wpływem poczęstunku. Może to zresztą i nie goście, tylko ktoś obcy, ale dziadek więcej za wieszak się nie wynajmuje.

— Jako antena telewizyjna natomiast wychodził dziadek Paździerzak na balkon u dra Q., ale bez rezultatów. Tzn. łapał dziadek program znakomicie, jak sam twierdził, ale nie przekazywał go do telewizora, prawdopodobnie na skutek jakiejś nieprzepuszczalności organizmu, tak że dr Q. zrezygnował. Co prawda nie tyle ze względu na telewizję, której dr wyjątkowo nie lubi, co ze względu na dziadka Paździerzaka, za którym przepada, a który nieco marzył był na balkonie.

— Sporo osób korzystało z zaradności dziadka Paździerzaka przy nabywaniu cytryn. Stawał mianowicie dziadek w ogonku i natychmiast rozprzestrzeniał wieści o epidemii kwaśnej żółtaczkę, którą owoce te rozpętały w Kwidzynie. Już po chwili ogonek składał się jedynie z dziadka. Kiedy jednak zaopatrywana przez dziadka Paździerzaka w cytryny sędzina G. zapadła na kwaśną żółtaczkę, przestano się zwracać do uczynnego staruszka o tę przysługę.

— U Karolostwa N., którzy, wyjeżdżając na urlop zimowy, pozostawili mieszkanie pod opieką dziadka Paździerzaka, pełnił on obowiązki złego psa. Tzn. na dźwięk dzwonka czy pukanie do drzwi dziadek Paździerzak czekał i warczał, odstrasżając w ten sposób m.in. element podejrzany.

— Niestety okazało się, że dziadek czekał głosem suki, i to istnej psiej sex-bomby, tak że psy z całej dzielnicy zaczęły zalegać klatkę schodową przed drzwiami Karolostwa N., co spowodowało odwołanie ich z urlopu i zwolnienie suki, tzn. dziadka Paździerzaka, z pełnienia podniecających psy obowiązków.

— Wtedy to właśnie nadeszły święta i dziadek Paździerzak zgodził się za choinkę u pp. Zet, gdzie też zetknęliśmy się z nim ponownie.

— Pięknie wyglądał, przybrany szychem, ozdobiony bombkami, przyprószony wata śnieżną i nastrojowo oświetlony elektrycznymi świeczkami. Rozprzestrzeniał zapach igliwia. . .

— A to dzięki jałowcówce, którą stosował w okresie świątecznym. Dzięki niej też leciutko odchyłał się od pionu, mrużąc kolędy (kąąt odchylenia do 15 stopni). Takim go mamy w oczach do dziś i takim chcemy przekazać wam, drodzy, wizerunek tej, jakże malowniczej, postaci starej Warszawy.

List omawiający korespondencję

Liczne pytania, zastrzeżenia i sugestie, jakie napłynęły do nas ostatnio w związku z naszymi listami z podróży, sprawiły, że postanowiliśmy z przyjacielem poświęcić ten list omówieniu wspomnianej korespondencji.

Na korespondencję tę, która świadczy o żywym oddźwięku, jaki znajdują nasze listy po tamtej stronie eteru, składają się właśnie owe pytania, zastrzeżenia i sugestie, zawarte w liście, który napłynął do nas wczoraj od pani Majfer z Pucka.

— Pani Majfer, stała słuchaczka naszych listów, zapytuje na wstępie, po czemu jaja świeże w Warszawie. Otrzymała bowiem w prezencie pocztą od pana Heńka, który ma się ku pani Majfer, paczkę zawierającą dwa tuziny jaj w koszulkach flanelowych (żeby nie zamarzły lub nie potłukły się), ale nie chce tego przyjąć jako prezentu, bo pragnie uniknąć jakichkolwiek zobowiązań wobec pana Heńka, który podobnie postąpił z panią Ziutą z tegoż Pucka (jeździ tam na wczasy), a potem znalazł się nieładnie. I dlatego pani Majfer, nasza stała słuchaczka, chce uiścić opłatę za nabiał panu Heńkowi. Co prawda przesyłka kilka dni była w drodze, więc trudno uznać jaja za świeże, ale że już pani taka jest, więc zapytuje.

— Odpowiadamy uprzejmie. Cena jaj świeżych kurzych waha się około 4 zł., niestety waha się w jedną stronę — tę kosztowniejszą.

— W dalszym ciągu swego listu pani Majfer zapytuje ciekawie, czy Wisła w Warszawie bardzo zamarznięta i czy na wiosnę, jakby tak gwałtownie stajało, będziemy mieli powódź?

— Odpowiadamy uprzejmie. Bardzo. Jakby gwałtownie, to — ewentualnie, ale miejmy nadzieję, że stopniowo i wtedy wykluczone.

— O zastrzeżeniach naszej stałej słuchaczki, pani Majfer, już wspominaliśmy. Dotyczą one pana Heńka i trudno nam się ustosunkować, bo nie znamy osobiście. Ale jeżeli rzeczywiście nieładnie znalazł się wobec pani Ziuty, to się ustosunkowujemy uprzejmie, ale — negatywnie.

— Sugestie pani Majfer, naszej stałej słuchaczki, dotyczą listów z podróży. Mianowicie pani Majfer chętnie pisywałaby osobiście listy z podróży, ale — na Hawaje lub — Archipelag Malajski i w związku z tym prosi nas o dopomożenie jej w załatwieniu dewiz, paszportu i przejazdu do jednej z tych dwóch miejscowości i tu pozostawia nam zupełną swobodę wyboru.

— Dziękujemy pani. Nadesłane formularze i fotografie (ślicznie pani wyszła) złożyliśmy niestety pomyłkowo w Kwaterunku i otrzymaliśmy dla pani trzy pokoje z kuchnią (bez garażu co prawda, w drapaczu chmur, a jak pogodnie — to nieba). Teraz musimy to wszystko odkręcać, zwracać mieszkanie, wycofywać formularze, a zwłaszcza fotografie, żeby pchnąć sprawę pani właściwym torem, więc trochę to potrwa. Prosimy o uzbrojenie się w cierpliwość.

— I na tym kończymy omawianie dotychczasowej korespondencji naszej. Niechże łaskawa pani znów napisze.

List o podróżniku Cichorodku

— Któż z nas nie czytał głośnych reportaży Sławomira Cichorodka albo przynajmniej nie słyszał o wyprawach tego słynnego podróżnika. „Proszę o ogień”, „Kilimandżaro”, „Dosiadanie Amazonki”, „Zamrażam ćwiartkę w Morzu Rossa” i inne jego książki pochłanialiśmy z przyjacielem z niesłychanym zainteresowaniem i podziwem dla barwnych przeżyć wielkiego globtrotera i umiejętności przekazywania ich czytelnikowi w jakże pasjonujący sposób.

— Toteż kiedy dowiedzieliśmy się, że nadarza nam się okazja poznania Cichorodka osobiście, dosłownie zadrżeliśmy z przyjacielem z radosnego przejęcia.

— A okazja trafiała nam się w związku z przyjęciem, jakie urządzali państwo Deńscy w dawnej swojej willi, obecnie domku jednorodzinym. Jedna rodzina nie zapełniała całego domku, więc mogło się tam pomieścić jeszcze sporo osób.

— Kiedy przybyliśmy z przyjacielem leciutko spóźnieni, raut u państwa Deńskich ślicznie się już Rozwinął. Ogół zaproszonych orientował się dość dokładnie, czego na stole z zimnymi zakąskami należy unikać, a co uwzględniać; jakie butelki noszą zawartość nieco skromniejszą, niż to zapowiadają ich etykiety, które panie szczególnie trudno rozbawić itd.

— Ale wiedzę tę zdobywano niejako ubocznie w oczekiwaniu wydarzenia nadrzędnego, które nadawało sens całemu wieczorowi. Było nim oczywiście zapowiedziane pojawienie się głośnego podróżnika Cichorodka.

— Pojawił się wkrótce po naszym z przyjacielem przybyciu. Miał twarz smaganą passatami, spaloną słońcem tropików, zoraną gwałtownymi skokami temperatury.

W ustach tkwiła fajka, której nie wyjmował bez ważnych przyczyn. Ubrany był z niedbałą elegancją w surowce z importu względnie krajowe eksportowe.

— To, że stał się natychmiast ośrodkiem ogólnego zainteresowania, zniósł lekko. Zamienił kilka słów z panią domu, potem z panem domu, wyjął fajkę, wypił, zakąsił, uśmiechnął się blado, jak człowiek, któremu nieobce są najgłębsze przeżycia.

— Jeszcze wypił, zakąsił, poprosił o kawę, zapalił fajkę i usiadł w fotelu. Wyjął fajkę z ust, usadowił się nieco wygodniej i wzrokiem wybiegł na chwilę za okno po jakieś sformułowanie, niezbędne mu do rozpoczęcia opowieści.

— Nie ulegało wątpliwości, że będzie opowiadał o swojej ostatniej wyprawie do źródeł Amazonki. O tej wyprawie, którą ukoronowało odkrycie plemienia Ungalux, tak prymitywnego, że nawet nie znało swojej nazwy. . .

— Zapanowało milczenie. Dwadzieścia kilka par oczu zawisło na ustach podróżnika. — Z Monte Andante wyruszyłem z 5 na 6 marca o świcie. Świt tamtejszy o tej porze roku przypomina. . . — wielki podróżnik zawiesił głos i zamyślił się na chwilę, ale właśnie wtedy przyjaciel mój, ku mojemu zdumieniu, odezwał się w te słowa:

— A wie pan, że guzik mnie obchodzi, panie Cichorodek, co panu przypomina świt tamtejszy.

— Cisza trwała nadal, ale już inna, niedobra, kiedy i ja, ku mojemu zdumieniu, odezwałem się do oszołomionego pogromcy Amazonki: — I w ogóle nie gducz pan. — Potem, wśród ciągłego milczenia zebranych, poczuliśmy z przyjacielem, że powinniśmy wyjść.

— I wyszliśmy. I do dziś nie potrafimy wytłumaczyć sobie, dlaczego tak nietaktownie zachowaliśmy się na tym przyjęciu.

— My, co tak szanujemy autorytety.

List znad Wisły

— Okres, kiedy to przyjaciel nie kablował ze mną, a poprzedzający wypadki opisane w poprzednim liście spędził on (przyjaciel), jak się okazuje, tuż nad Wisłą. Ponieważ zaś okolice te są mi mało znane, postanowiłem zapytać przyjaciela o to i owo nad Wisłą, a rozmowę przekablować naszym drogim adresatom, żeby i oni skorzystali.

— No więc jakżeż tam, nad samą Wisłą?

— Przecudny tam krajobraz.

— Rzeka Wisła, o ile pamiętam, toczy tam swe nurty u stóp cudownej w dzień pogodny panoramy miasta Warszawy?

— Bezsprzecznie. Ale okolica to ciekawa, zwłaszcza ze względów etnograficznych.

— Bo chyba i na człowieku piękno tamtejsze wyciska swoje piętno?

— To znaczy rzeka wyciska, a panorama już przeważnie nie.

— Dlaczegoż to?

— Bo człowiek siedzi tam przeważnie tyłem do panoramy. Nadwiślanin.

— Stale tyłem?

— Do panoramy stale, twarzą ku rzece, wpatrzony w spławik.

— Rybołówstwem zajmuje się?

— Trudno to tak nazwać, bo ryby on nie złowi. Może i dlatego, że nie ma jej tam, a mimo to nie schodzi on z posterunku, staje się coraz to piękniejszym typem bezinteresownego, wytrwałego do niezwykłych granic, może jedynie odrobinę reumatycznego obywatela. A patrząc całymi dniami w nurt głęboki, pogłębia się Nadwiślanin z dnia na dzień. Głębieje w oczach.

— A skąd wiesz, że się pogłębia? Rozmawiałeś ty z nim? Z Nadwiślaninem?

— Rozmawiać nie mogłem, bo to płoszy rybę. Ale milczałem z nim na różne, coraz to głębsze tematy. Doszło do tego, że i o cybernetyce, i o lotach kosmicznych, i o malarstwie Kandinsky’ego i filmach Kurosawy. I na każdy z tych tematów nieraz to sobie naprawdę głęboko pomilczeliśmy. Spróbuj tak z kimkolwiek porozmawiać!

— A zewnątrz — jakież on, Nadwiślanin warszawski?

— Dorodny. Wzrost tylko ma nie znany, bo stale siedzi, ale twarz smagła, wichrami chłostana, oczy barwy toni, spojrzenie otwarte, ufne, pełne mocnej nadziei. . . Ech, co tam mówić — wspaniały. Ja osobiście wierzę w Nadwiślanina!

— Wierzysz?

— Wierzę bezgranicznie. Siedzi on tam, nad rzeką, taki cichy i skupiony, patrzy na spławik i zbiera się w sobie, pogłębia. A jak przyjdzie czas, to wstanie z tą twarzą ogorzałą, z tym spojrzeniem jasnym, zdeterminowanym, z tymi spodniami może i odrobinę wypchniętymi od siedzenia, łyknie z biodrówki i — pójdzie!

— Pójdzie?

— Pójdzie!

— Pójdzie i. . . co?

— I znowu wróci! — Żeby — co?

— Żeby znów usiąść i siedzieć. Taki już jest.

List z balu

— Udaliśmy się we troje, tzn.: pani Możenka Nocówna. Przyjaciel i ja na bal karnawałowy. Po okazaniu kart wstępu, paragonów konsumpcyjnych i krawatów (bez krawatów na bal karnawałowy tam nie wpuszczają), przystąpiliśmy do wypełnienia kart meldunkowych na zameldowanie tymczasowe, ponieważ bal odbywał się w salach jednego z najokazalszych hoteli stołecznych.

— I tu mieliśmy kłopot z panią Możenką, bo nie mogła sobie przypomnieć daty urodzenia. Proponowaliśmy różne daty, ale nie decydowała się na żadną. Wreszcie ułożyliśmy się z prowadzącym meldunki, że pozostawimy nie wypełnioną rubrykę daty urodzenia, dołączając zobowiązanie się pisemne pani Nocówny do uzupełnienia danych w ciągu tygodnia od momentu opuszczenia balu.

— Po szczęśliwym wybrnięciu z tych trudności udaliśmy się na część rozrywkową imprezy, czyli na sam bal jako taki. Zajęliśmy miejsca przy stoliku, w jednej z sal bocznych. Zabrzmiały tony orkiestry z sali centralnej, a ponieważ pani Możenka jest kobietą niesłychanie ponętą, pięknej budowy. . .

— Cudownie sklepiona zwłaszcza.

— O niezwyklej harmonii ruchów i ciekawym kolorycie całości. . .

— Kość drobna, niemal w domyśle.

— Więc też i bal zapowiadał nam się niezwykle atrakcyjnie i, trzeba to stwierdzić, spełnił tę zapowiedź całkowicie.

— Bo też i skoro tylko zasiedliśmy, pojawił się Artur i od razu zrozumieliśmy z przyjaciелеm, że uczucie między tym dwojgiem to nie przelewki. Byli zresztą jak stworzeni

dla siebie. Ona małowówna, wysoka, on żywy, elokwentny, nieduży, jakby skrócony w sobie, by świat mu łatwiej przysłonić mogła.

— Niestety alkoholik.

— Niestety. Toteż, ciesząc się z tej miłości dwojga na początku, potem nieco byliśmy zatroskani, zwłaszcza kiedy już zaczął nas nie odróżniać od pani Moženki, całować w rękę przyjaciela. . .

— A przyjaciela prosić o następny taniec.

— Znikł coś tak koło pierwszej.

— W tym samym mniej więcej czasie, kiedy zjawił się Kamaszewicz ze słowami „Jak się masz, ździro!” Ale tu zaraz roześmiał się i zorientowaliśmy się, że to nie żadna zniewaga, tylko ot, żart taki. . . Kamaszewicz zresztą to był naprawdę mężczyzną dla Nocówny. Owszem, lubiący wypić, ale nie do absurdu, a poza tym człowiek poważny, po czterdziestce, na stanowisku, Teodor ma na imię. Ze spokojem i ufni w przyszłość tych dwojga pozostawiliśmy więc Moženkę pod opieką Teodora Kamaszewicza i poszliśmy szukać Artura, do którego jednak przywiązaliśmy się.

— Nigdzie nie mogliśmy go wszakże odnaleźć. Może i dlatego, że właśnie zaczęto sypać confetti, sporządzone z kolorowych papierów do klejenia. Papiery były wybra-kowane i kolory nie wyszły, więc fabryka uruchomiła uboczną produkcję confetti. Ale klej był dobry, więc do ramion i pleców pań, a także twarzy panów confetti świetnie się przyklejały. Zwłaszcza twarze panów nietrzeźwych, którzy sobie z tego nie zdawali sprawy, były nie do poznania. Może wśród nich właśnie był Artur.

— Poszukiwania te zajęły nam sporo czasu i kiedy wróciliśmy do stolika, Możenka i Teodor tonęli we łzach. Teodor szczerze wyznał bowiem pani Nocównie, że przyszłość ich po krótkim okresie upojeń nie ma przyszłości. O cztery stoliki dalej miał żonę, a w barze, na stołku, dorosłą córkę, Ifigenię (bardzo rzadkie imię), oraz wiele innych podobnych obowiązków.

— Trzeba przyznać, że po odejściu Teodora Kamaszewicza Możenka była załamana kompletnie i gdyby nie Przemysław, którego zesłała Opatrzność... Odeszli w stronę parkietu, a potem gdzieś dalej, odprowadzani przez nas ojcowskim spojrzeniem. Bo też i chyba są sobie przeznaczeni.

— Wkrótce znikli nam z oczu, a na sali tańców zaczęło się właśnie straszliwe zamieszanie. Zastosowano serpentynki z wybrakowanych taśm magnetofonowych. Tzn. na te taśmy nie można było nagrywać, więc fabryka uruchomiła uboczną produkcję serpentynek karnawałowych. Ale te serpentynki znowu okazały się nie do zerwania i wkrótce tłum tańczących zamienił się w jedną gigantyczną grupę Laokoona.

— Wprawdzie nadjechało wkrótce pogotowie techniczne, dysponujące narzędziami do przecinania tych serpentyn, ale też i nastrój przysł. Zaraz też wyszedł na środek sali ktoś z zarządu i zawołał:

— Unieważniam ten bal!

— Co już oczywiście było przesadą. Ostatecznie i koszty się poniosło, i parę godzin do tego momentu człowiek się bawił.

List z tamtego brzegu

— Wszystkie nasze dotychczasowe podróże odbywaliśmy po tej stronie rzeki. Ale tamten brzeg pociągał nas zawsze i mamił nieznanym.

— Tu może należałoby wyjaśnić tym z państwa, którzy nie interesują się specjalnie geografią, że stolica, po której odbywamy nasze podróże, położona jest nad rzeką, przeważnie po jej lewej stronie, ale częściowo i po prawej i tam nazywa się Praga. Natomiast

ta jej część, do której dotarliśmy z przyjacielem, posuwając się jednym z mostów, jeszcze inaczej się nazywa, ale nie chcemy przeciążać państwa terminami geograficznymi.

— Może porę wybraliśmy nieodpowiednią, bo okres wiosennych roztopów. A roztopy na wiosnę w stolicy, bez względu na ilość opadów w zimie, bywają ogromne. Cóż, kiedy żądza poznania tamtego brzegu nie pozwoliła nam doczekać dogodniejszej pory.

— Brnęliśmy pod wiatr przez roztopy, które posypuje się u nas solą. Sól co prawda zżarła nam zelówki, ale na stopy robiła nam świetnie, bo dla dobra obywateli roztopy soli się u nas solą do nóg Jana.

— Wiatr natomiast wiał nam prosto w twarz, wpychając z powrotem do gardła każde wypowiedziane słowo. Słowa wypowiedziane w bok zwiewał w tył, w kierunku Warszawy. Żeby się porozumieć, mówiący musiał wyprzedzić słuchającego i mówić do niego w tył, a potem czekać, aż słuchający go wyprzedzi i odpowie w ten sam sposób. Niesłuchanie to przeciągało naszą wędrówkę, bo jesteśmy w drodze rozmowni.

— Kiedy już jednak stanęliśmy słoń stopą na tamtym brzegu, nie pożałowaliśmy poniesionych trudów. Smaczna woda, doskonale powietrze i niezapomniany widok na ten brzeg — sprawiają, że i pobyt tam staje się zapomniany.

— A do tego trzeba jeszcze dodać, że ludzie serdeczni i życzliwi niczego nam nie zazdroszczą. Cytryny bywają tam bez ogonka, tzn. — sam owoc. Ogonek i liście usuwa już eksporter.

— Wszystkie cytryny bywają takie.

— Tak?... A, to nie pamiętam w takim razie. Zresztą uważam, że powinniśmy zacieśnić nasze więzy z tamtym brzegiem. Tym bardziej że i problemy nurtują tam ludność podobne do naszych. I sporo takich ciekawostek.

— Zwiedzajmy tamten brzeg!

List z ogonka

— W takim ogonku to, jak żyję, nie pamiętam, żebym stał!

— Przyjaciel ma na myśli ogonek po bilety sypialne, które nam były niezbędne, aby przeleżeć podróż na Święta, na pobyt zamiejscowy, czasowy. Ja też muszę przyznać, że, jak sięgnę pamięcią, nie widzę siebie w podobnym ogonku, chociaż przecież bywało się dużo. Braliśmy w nim udział obaj, ażeby wzajemnie się ustrzec od zaśnięcia, gdyż zaśnięcie w pozycji stojącej grozi kalectwem, a nawet utratą miejsca w ogonku, jeżeli

się upadnie niezbyt fortunnie, zwłaszcza głową na coś. Miejsce w tym ogonku mieliśmy dwudzieste piąte.

— Tak. Byliśmy dwudzieści piąci. Od razu też uderzył nas niezwykle dobrany skład personalny ogonka. Kobiety np. były urodziwe, przeważnie szatynki o oczach fiołkowych, w talii niezwykle szczupłe, a przy tym nieprzystępne, zwłaszcza dla nie-trzeźwych, a tak to bardzo miłe w obejściu. Mężczyźni. . .

— To już może ja o mężczyznach.

— Dlaczego?

— Bez szczególniejszego powodu. Otóż mężczyzn tego ogonka podzieliłbym na intelektualizujących, może mniej atrakcyjnych zewnętrznie, ale za to jakże ciekawych pod względem umysłowości swojej, oraz na dorodnych fizycznie, chociaż też swój, mniejszy co prawda, rozum posiadających.

— Główny nacisk jednak trzeba by chyba położyć na charakter, wspólny wszystkim ogonczanom i ogonczankom, charakter łagodny, a zdeterminowany, który zresztą umożliwił w ogóle sformowanie się tego ogonka w niezwykle ciężkich warunkach.

— To prawda. Nocą np. występowały jeszcze przymrozki i ścinały ogonek, tak że nad ranem trudno się było doliczyć wszystkich. Ale wtedy liczono jeszcze raz i jeszcze raz, i w końcu zawsze się doliczono. I nie było tego np., żeby ludzie interesowali się tylko tymi, co stoją przed. Przeciwnie, żywo obchodził ich los i tych, co — za. A czy dostaną bilety, czy nie na darmo stoją itd.

— Kiedy mniej więcej na godzinę przed otwarciem instytucji, udostępniającej ogonkom bilety sypialne, gruchnęła pogłoska, jakoby ogonek został odcięty, nikt z jego uczestników nie uległ panice, a silniejsi dopomogli słabszym zachować spokój.

— Aż do momentu, kiedy okazało się, że nic podobnego, że pogłoska jest fałszywa, podrzucona przez kogoś z zewnątrz celem dezorganizacji. Wkrótce też otworzono instytucję i okazało się, że bilety są już rozprowadzone, a pozostałe nieliczne niewielu się jedynie dostaną. Dzięki temu doszły do głosu serca i dawajże ci, co dostali, zrzekać się swych biletów na rzecz pozbawionych tychże. Tamci — dalejże nie przyjmować itd. itd., aż do rozejścia się ogonka w atmosferze wzajemnej życzliwości, serdeczności, zrozumienia itp.

— I chociaż już on nie istnieje, ten ogonek, do dziś mamy go w oczach z przyjacielem: ten pan, ta pani, potem ci państwo, potem te dwie panie, potem my z przyjacielem, potem ten pan, ta pani, tych trzech panów... Niezatarte wspomnienie.

List ponownie omawiający korespondencję

— Ponieważ w naszej korespondencji powstała dłuższa przerwa, pozwólcie, kochani, że zaczniemy od omówienia zaległej korespondencji.

— Otóż napisała do nas ponownie pani Majfer z Pucka. Źe bardzo sobie ceni nasze listy i zapytuje nas uprzejmie, czy nie moglibyśmy się wystarać dla niej o gumowe

uszczelki do słoików „weków”, ponieważ w nadchodzącym sezonie owocowo-jarzynowym zamierza dużo czasu poświęcić przygotowaniom marynat i kompotów.

— Posiadane przez panią Majfer uszczelki przedwojenne wykradł jej wczasowicz, który użył ich do umocnienia i uszczelnienia karoserii automobilu „Syrena”, żeby nie dzwoniła i nie brzęczała oraz nie przepuszczała opadów. Karoserią tą pan Rozmaszczyk wywiózł nocą córkę pani Majfer na zdjęcia próbne do filmu „Pianissimo” i, może w związku z tytułem, zależało mu na tym, by odjazd odbył się możliwie cicho, bez budzenia mamy, wobec której też niestety pan Rozmaszczyk nie był w porządku.

— Co do tych uszczelek, to szukaliśmy ich długo, droga pani, aż znaleźliśmy je w jednym HD, gdzie jednak nie odpowiadały podanym przez panią wymiarom. Tzn. średnicę miały znacznie większą niż średnica słoików szanownej pani. Ekspedientka tłumaczyła nam, że można je znakomicie wykorzystać, nie zakładając ich na słoik normalnie, poziomo, natomiast pionowo, niejako słoikowi pod brodę. Twierdziła przy tym ona, że w ten sposób przykrywka się trzyma, a jednocześnie ma luz, powietrze ma dostęp do marynaty, która w ten sposób nie tęchnie, tylko wietrzy się i jest zawsze świeża.

— Ażeby nam obrazowo zademonstrować taki sposób zakładania uszczelki, ponieważ nie miała pod ręką słoika, założyła sobie uszczelkę pod brodę. Ale uszczelka zsunęła jej się z głowy na szyję i ta pani zaczęła krzyczeć: „Duszę się!” My z przyjacielem trochę straciliśmy się, złapaliśmy sprzedawczynię za ręce i zaczęliśmy ją prowadzić do powietrza, do okna. Ponieważ w ten sposób zajęliśmy jej ręce, nie mogła ona uwolnić się nimi od uszczelki, a że okno było daleko, bardzo się poddusiła, zanim wreszcie wszystko nie przybrało szczęśliwego dla niej obrotu.

— Tym samym jednak sama podważyła swoją tezę o dostępie powietrza do marynaty przy tym systemie zakładania uszczelki, których w związku z tym nie nabyliśmy i nie możemy pani przesłać. Za miłe słowa raz jeszcze dziękujemy i na tym kończymy omawianie zaległej korespondencji.

List z plaży wiosennej

— Dzień był wiosenny, mroźny, ale że słońce świeciło pięknie, wybraliśmy się z przyjacielem na spacer wzdłuż brzegów Wisły — ot, popatrzeć na rzekę — jak tam z wodą itd.

— Szliśmy wybrzeżem w stronę północną, ciesząc się, — jak to w dzień pogodny, że ojczyzna ma tyle stron, bo prócz wspomnianej jeszcze południową, wschodnią i zachodnią.

— „Cieszyliśmy się i z tego, że woda w rzece Wiśle płynie tak czysta, bo ta np., która nam leci z kranów, wygląda nierzadko jak woda z rzeki Limpopo — mętna i żółta i ja osobiście nawet sprawdzam przed kąpielą durszlakiem, czy nie ma w niej małych krokodylą, które podobno gryzą dotkliwie.

— No, więc tak idziemy i cieszymy się, cieszymy się i idziemy, słońce świeci, cieszymy się, rzeka płynie, idzie — my, aż nagle — a niechże to! Cóż to — w lato to tak zaszliśmy niepostrzeżenie czy co?

— Bo wystawcie sobie państwo — piaszczysta plaża, a na niej opalają się plażowicze. Nagie ciała dwu co najmniej płci, przesłonięte skąpo bikini i slipami. Chwilę oczom nie wierzyliśmy, ale o złudzeniu nie było mowy: plażowicze byli autentyczni, z krwi i kości, nie żadne tam fantomy. Grzali się na słońcu, opalali się, wypoczywali, a nam zrobiło się strasznie idiotycznie, że tak stoimy w paltach i marzniemy, jak głupi.

Cóż to — starość gnuśna, krwi wystudzenie? — pomyśleliśmy z przerażeniem i szybko zaczęliśmy zrzucić z siebie palta, a następnie, przysłoniwszy się paltami, i resztę odzienia. Kostiumy kąpielowe na szczęście nosimy zawsze przy sobie w związku z gwałtownymi ostatnio zmianami klimatycznymi.

— Kiedy położyliśmy się na paltach, stwierdziliśmy, że rzeczywiście jest fajno. Trochę może świeżo, ale — opalamy się za to, wypoczywamy i... I wtedy zauważyliśmy tych dwoje. Stali w wodzie po szyję i całowali się. Niby nic, ale — poczekajcie...

— Potem usłyszeliśmy głos od strony mostu: „Uważajcie! Woda przybiera! Ambasador wycofał notę!” Trochę nas to zaniepokoiło. Założmy, że woda rzeczywiście przybiera, ale co do tego ma ambasador?

— Dwoje przestali się wtedy całować i wyszli z wody, spluwając z niesmakiem. Wtedy okazało się, że to nie dwoje, tylko dwaj, jeden w damskiej peruce. Na plażę wbiegł jakiś pan, ciepło ubrany, i podbiegł do nas: — Panowie zgłoszą się po honorarium. — Za co? — spytaliśmy tego pana. — Panowie statystowali w plenerach filmu „Upał”. Atelier kręciliśmy w lecie ubiegłego roku — wyjaśnił miły, ciepło ubrany. — Plenerów, cholera, nie zdążyliśmy i teraz dokręcamy. Brawo, żeście nie zsinieeli. Film wprawdzie biało-czarny, nie kolorowy, ale siny facet fatalnie wypada, bo szaro. Cześć, kochani!

— I pobiegł. Plażowicze już pozrywali się i też biegli, zabijając rękami, w kierunku aut, które dopiero teraz zauważyliśmy opodal, na jezdni bulwaru. A myśmy natychmiast

zsinieli i zanim zdążyliśmy się ubrać, mieliśmy już zapalenie oskrzeli. W ciężkich, na-
prawdę, warunkach pracują nasi filmowcy!

List z życia rozrywkowego

Poznaliśmy ostatnio z przyjacielem siostry Pustaciówny, i jak to bywa z siostrami, dla których nie jesteśmy braćmi, zapragnęliśmy z nimi spędzić wieczór rozrywkowy.

— To znaczy, poczynając od jakiegoś wesołego, rozrywkowego spektaklu, poprzez wieczerzę w jakiejś eleganckiej restauracji aż do tańców przy doborowej orkiestrze w jakimś przytulnym, nocnym lokalu.

— Niestety program w naszym jedynym stołecznym, rozrywkowym teatrze siostry Pustać już znały. My też. Los rzucał nam oto pod nogi pierwszą kłodę.

— Żeby się przekonać, jak prędko nastąpi zmiana programu w teatrze rozrywkowym, zaczęliśmy z przyjacielem liczyć ludność stolicy. Przyjacielowi wypadła cyfra 999.999, mnie — 1.000.001, czyli średnia 1.000.000.

— Teraz milion podzielmy przez ilość miejsc w stołecznym teatrze rozrywkowym i okaże się, że nowa premiera, tak żeby wszyscy obejrzeni program obecny, odbędzie się tam za 5 lat 8 miesięcy i 21 dni, jeżeli pominiemy dzieci, chorych i rząd, który akurat może nie mieć czasu na rozrywki, a uwzględnimy przyjezdnych.

— Trzeba by więc w tej sytuacji albo przesunąć rozrywkową wieszakę z siostrami Pustaciównymi na wcześniejszą porę, albo też same siostry na porę późniejszą, to znaczy — 5 lat 8 miesięcy i 21 dni.

— Wybraliśmy pierwsze rozwiązanie, bo pomyśleliśmy sobie, że za 5 lat 8 miesięcy i 21 dni możemy z przyjacielem być już nie ci sami co dzisiaj, a i siostry Pustaciówny, jak to dziewczyny...

— Przed portalem wszakże luksusowego hotelu, dysponującego odpowiednią dla naszych celów salą restauracyjną, dowiedzieliśmy się od Polaka z walizką, że cały gmach zajęła delegacja zagraniczna i rodaków przeproszono.

— Polak z walizką miał to komuś tam bardzo za złe, ale my obaj nuże apelować do jego poczucia obywatelskiego, praw gościnności wobec gości z dewizami itd. Tak że w końcu oszedł udobruchany z walizką, ale niestety z siostrami Pustaciównymi. . .

— Poczuliśmy się teraz z przyjacielem bardzo samotni i jeszcze bardziej spragnieni rozrywki. Nie wiedzieliśmy jednak, gdzie jej szukać. Do premiery w stołecznym teatrze rozrywkowym było jeszcze 5 lat 8 miesięcy i 21 dni.

— Słyszeliśmy gdzieś o jakimś kabarecie, ale nie pamiętaliśmy dobrze, czy o takim, co od dawna był zamknięty, czy też jeszcze nie otwarty.

— Aż tu nagle, gdy nad tym się zastanawiamy idąc pryncypalną ulicą, powiało na nas zapachem chmielu i ciepłem rozgrzanych serc ludzkich. Oto uboga budka z piwem, a przy niej ludzie prości, szczerzy, gościnni, o różnokolorowych twarzach: fioletowych, czerwonych, niebieskich. . .

— Kurzu ani śladu, bo trotuar zroszony pianą, zdmuchiwaną obficie. Zatrzymujemy się i już po chwili inwalida nalewa nam porterku. Dokoła wesoło szczękają kufle o kufle, czasem kufel o głowę, głowa o ladę nierzadko, lada o szczękę. . .

— Ale co nam — nie nasza lada, nie nasze głowy, ani zęby nie nasze. Nam pogodnie i pełnia w nas jakaś piwna. Ech, dokonać by czego!

— Jeszcze trochę porterku i raptem uświadamiamy sobie, że Mickiewicz nie czytał Orzeszkowej, podczas gdy Orzeszkowa czytała Mickiewicza. Postanawiamy im jakoś zrekompensować tę bolesną dysproporcję. Zrywamy z przyjacielem bratki na skwerku przed pomnikiem wieszczą i ze skromnym napisem „Elizie od Adasia za to, że nie czytał” niesiemy je popiersiu pisarki do Parku Kultury. Na pewno się ucieszy.

— Niestety, Eliza tej nocy w nie najlepszej formie. Brak jej m.in. nosa, a usta ma zrobione niedobrą, czerwoną szminką. Postanawiamy pożyczyć nos dla autorki „Nad Niemnem” u nimfy w Łazienkach, która jeszcze wczoraj miała nowiutki.

— Łazienki niestety zamknięte, więc dobijamy się do bramy, bo sprawa jest pilna. Akurat przechodzi patrol milicyjny, więc tłumaczymy, że my do nimfy. . .

— Dalej nie pamiętamy. Kiedy ocknęliśmy się, do premiery w stołecznym teatrze rozrywkowym pozostało nam już tylko 5 lat 8 miesięcy i 20 dni.

List z wystawy psów

— Przemądra jest natura w swoich przejawach. Co chwila powtarzaliśmy te słowa zwiedzając z przyjacielem wystawę psów rasowych, zorganizowaną przez ludzi z nimi zaprzyjaźnionych.

— Bo też i bogactwo okazów psa domowego tam zgromadzonych bilo po prostu w oczy.

— A więc, proszę was, owczarki górzyste, które na równinie absolutnie nie rozmnażają się, co przypisać trzeba m.in. znacznej różnicy wzrostu między suką i psem, nie do pokonania na równym terenie.

— Owczarki nizinne, które w górach znowuż tracą się zupełnie. Pilnują wilków, gryzą owce (do dwunastu sztuk dziennie), straszą pasterzy itd.

— Serdel-terriery, nie biorące do ust parówek. Co prawda ostatnio unikają również niestarannie produkowanych serdelków.

— Slow-fox-terriery. Bardzo podobne do fox-terrierów, tylko znacznie powolniejsze.

— Pudle, tak często przerastające inteligencją swych właścicieli, że ci przez zawiść ośmieszają nieszczęsne zwierzęta, strzygąc je w formalistyczne krzaki.

— Buldermany, w przeciwieństwie do poprzednich, tak ograniczone, że właścicielom o minimalnych nawet zasobach intelektualnych zapewniają przewagę umysłową nad sobą. Toteż i coraz popularniejsze.

— Wodołazy, bardzo praktyczne, tylko nie wiadomo dobrze, czy i na wyższe piętra łążą z wodą.

— Ogary, niegdyś myśliwskie, obecnie zdegenerowane. Błądzą w lesie, tęskniąc za niedużym nawet miastem, byle skanalizowanym. Zwłaszcza suki.

— Moglibyśmy tak jeszcze długo wyliczać wiele ciekawych ras i odmian psa domowego, ale pragniemy podzielić się z państwem jeszcze pewnym interesującym incydentem na wystawie. Otóż po przeczytaniu wielu ostrzeżeń: „Ostrożnie! Zły pies!”, przeczytaliśmy również kartkę z napisem: „Uwaga: Zły pan! Nie zbliżać się!” W kojcu opatrzonym tym napisem siedział obok małego, białego, kudłatego pieska jego pan. Mężczyzna rasowy, duży i wcale nie wyglądający na tak złego.

— A przecież, jak o tym dowiedzieliśmy się od osób całkowicie wiarygodnych, pan ten zrugął już tego dnia kilka pań w różnym wieku, skotłował grupę kynologów, która nieostrożnie zbliżyła się do kojca, dał wycisk bardzo poważny jednemu magistrowi nauk, Bogu ducha winnemu itd. — tak że obecnie dokoła złego pana świeciło pustkami.

— Postanowiliśmy z przyjacielem nawiązać kontakt z tym mężczyzną ot, z pustej ciekawości. W tym celu stanęliśmy w pewnej odeń odległości.

— I dlaczegoż to pan jest taki zły? — zapytał przyjaciel, dając więcej głosu, w związku z odległością.

— A nie wiem — odpowiedział ten pan zupełnie spokojnie, tylko też głośno. — Nie mam pojęcia. Jestem zamożny, utalentowany, przystojny. A on (tu wskazał pieska) obchodzi się ze mną właściwie dobrze.

— I, patrzcie no, nie dowiedzielibyśmy się z przyjacielem, dlaczego ten pan jest taki zły, gdyby ten piesek nie zaczął akurat szczekać!

— A głos miał ten piesek jak tępa żyłetka. Cieniutki, potwornie spiczasty i dotkliwie drażniący naskórek. Tak że zaraz dostaliśmy z przyjacielem gęziej skórki, a potem wysypki ogromnie swędzącej.

— A potem pogryźliśmy się z tym panem, chociaż obaj z przyjacielem jesteśmy również zamożni, przystojni i utalentowani.

— Ten pan leczy się teraz na nasz koszt, a my — na jego. A przecież ten piesek tylko raz przy nas zaszczekał, a ten pan spędza z nim lata.

— Człowiek to musi strasznie uważać z doborem przyjaciół, również i spośród zwierząt, jakimi niewątpliwie są np. psy domowe.

Na tym postanowiliśmy zamknąć pierwszą serią naszych listów z podróży. Myśleliśmy nawet o zorganizowaniu skromnej uroczystości zamknięcia, ale poniechaliśmy tej myśli w obawie, że uczestnicy uroczystości odśpiewają nam „Sto lat niech żyją nam!” Sytuacja byłaby drażliwa, ponieważ tak się niefortunnie składa, że w okresie między kwietniem a grudniem b.r. liczymy sobie z przyjacielem łącznie — równo 100 lat, więc nie wiadomo, jak postąpić. Zastosować się do życzenia śpiewających przykro, a nie zastosować się — niegrzecznie. . . Toteż postanowiliśmy ze skromną uroczystością wstrzymać się do ewentualnego otwarcia następnej serii naszych listów, kiedy to już przekroczymy setkę, a na razie ograniczyć się do podania przyczyny, dla której zamykamy serią pierwszą. Była tą przyczyną po prostu pusta ciekawość, czy da się zamknąć? Położyli-

śmy kolejno wszystkie listy, jeden na drugim. Przyjaciel przysiadł na serii, a ja — zamknąłem ją, z podejrzaną nawet łatwością. Podejrzaną, bo może ta łatwość zamknięcia wynika z płaskości naszych listów? Trudno. Niech sam Czytelnik osądzi!

Sierpień 1964